Nr. 23. Poznań, Niedziela 2go Września 1894 r. Rok. I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

POLITYKA.

Stosunki partyjne Rusi halickiej.

I.

Chcąc dobrze zrozumieć teraźniejszy stan Rusi halickiej i rolę, jaką odgrywają poszczególne stronnictwa ruskie, musimy przypomnieć sobie cały przebieg procesu odrodzenia ruskiego w jego historycznym rozwoju i przyjrzeć się genezie trzech istniejących obecnie partyi: moskalofilskiej, narodowieckiej i radykalnej. Musimy się cofnąć pamięcią aż do drugiej połowy XVIII stulecia, kiedy Ruś halicka stanowiła polską prowincyę, w której żywioł ruski prawie niczem nie przejawiał swego życia. Cała szlachta i prawie całe wyższe duchowieństwo było wówczas spolszczone; kwitnące niegdyś bractwa cerkiewne, całkiem poupadały, inteligencya ruska nie istniała, a do narodowości ruskiej przyznawali się oprócz ciemnych, jęczących w niewoli mas ludowych, mniej zamożni mieszczanie po małych miasteczkach i popi wiejscy. Prawie wszystkie zakłady naukowe w Galicyi wschodniej znajdowały się w ręku zakonu Bazyljanów, Bazyljanie zaś pod względem swych przekonań i dążności niczem się nie różnili od polskiej albo spolszczonej ruskiej szlachty. Pomiędzy nimi znajdowało się nawet dość dużo szlachty polskiej, tudzież księży obrządku łacińskiego, wskutek czego Bazyljanie byli podtrzymywani i podpierani i przez duchowieństwo łacińskie i przez szlachtę polską i przez sam rząd.

Oprócz tego byli oni daleko oświeceńsi aniżeli księża ruscy, to też prawie wszystkie wyższe stanowiska w hierarchji kościoła ruskiego zostały zajęte przez mnichów bazyljańskich. Co się zaś tyczy księży wiejskich, to znajdowali się oni w zupełnej zależności od obywateli, byli niezmiernie ubodzy i nie mieli prawie żadnego wpływu, głównie z powodu zupełnego braku wykształcenia, gdyż w owym czasie biskupi uniccy w Chełmie i Łucku wyświęcali na księdza każdego, kto tylko był wstanie zapłacić taksę (100 złp.) i umiał trochę czytać w języku cierkiewnym.

W r. 1772 wskutek pierwszego rozbioru Polski Galicya dostała się pod panowanie Austryi. Przy nowych warunkach politycznych położenie ludności kraju zmieniło się poniekąd na lepsze, gdyż rząd austryacki odrazu zabrał się do reform w celu ulżenia losowi włościan, rozpowszechnienia oświaty i t. d. Zaprowadzono pewien ład w administracyi, zreformowano sądownictwo, ograniczono samowolę obywateli i wszystkim stanom umożliwiono wstęp do szkół.

Rząd austryacki, pragnąc znaleść w Galicyi oparcie, wobec separatystycznych dążności Polaków, zwrócił uwagę na duchowieństwo ruskie. W r. 1783 we Lwowie dla tego duchowieństwa zostało założone seminarjum duchowne, a w następnym roku tak samo powstał uniwersytet, w którym prawie wszystkie katedry tak na teologicznym jak i na innych wydziałach były wkrótce zajęte przez rusinów, a wykłady odbywały się nie tylko po łacinie, i po niemiecku, ale również i po rusku (czyli właściwiej w języku cerkiewnym).

Jednakże nadzieje rządu austryackiego nie ziściły się. Inteligencya ruska, która została sztucznie wytworzona, nietylko nie zajęła stanowiska wrogiego względem Polaków, ale wkrótce prawie całkowicie się spolszczyła. Stało się to z tej prostej przyczyny, że dzięki swemu scholastycznemu, prawie wyłącznie teologicznemu wykształceniu była ona zupełnie oderwana od swego gruntu narodowego; pomiędzy nią, a tym ludem, którego inteligencyę stanowiła, nie było absolutnie nic wspólnego. Ze swego wychowania i nawyknień niczem się nie różniła ona od polskiej szlachty i duchowieństwa łacinskiego, które starała się we wszystkiem naśladować i wskutek tego mimowoli z nim się zlewała. — Kiedy zaś po śmierci Józefa II (1790) rząd powoli przestawał popierać rusinów, żywioł polski znowu zapanował w Galicyi. Powoli wykłady ruskie na uniwersytecie zostały zniesione, co nie wywołało nietylko żadnych protestów, ale nawet żalu: konsystorz unicki zastąpił w seminaryum lwowskiem język ruski łacińskim i polskim, duchowieństwo ruskie coraz bardziej ulegało wpływom Rzymu i szlachty polskiej, i Ruś halicka na długo pogrążyła się w sen głęboki. Od r. 1809 do 1830 w Galicyi wyszło wszystkiego 35 książek w języku cerkiewnym, ale i to były prawie wyłącznie książki treści religijnej i teologicznej.

II.

Z tego snu głębokiego poczęli się budzić rusini w końcu trzeciego lat dziesiątka b. stulecia, kiedy inne narody słowiańskie Austryi już oddawna były porwane w wir tego ruchu, który przyjęto nazywać odrodzeniem słowiańskiem; kiedy w Rosyi już dość znacznie rozwinęła się literatura ukraińska, a wśród Polaków szerzyła się patryotyczno-rewolucyjna agitacya, która przygotowała wybuch w r. 1830.

W r. 1829 do Lwowa przyjechał Markjan Szaszkiewicz, który odegrał bardzo wybitną rolę w dziejach odrodzenia Rusi halickiej. Szaszkiewicz dopiero co był ukończył gimnazjum i przyjechawszy do Lwowa, zapisał się na filozofiję i jednocześnie wstąpił do seminaryum duchownego, skąd zresztą wkrótce został wydalony za jakieś przekroczenie obowięzującej ustawy. Szaszkiewicz zainteresował się sprawami słowiańskiemi i zabrał się do studjowania języków pobratymczych. Zapoznał się on z dziełami Szafarzyka, Lindego, Rakowieckiego, Karadżyća tudzież kilkoma wydawnictwami ukraińskimi jak np.: „Pieśni ludu małoruskiego“ Maksymowicza, „Gramatyka małoruska“ Pawłowskiego i „Eneida“ Kotlarewskiego. Studjując rzeczy słowiańskie, Szaszkiewicz spostrzegł, że narodowości, które już przez wszystkich były uważane za oddawna umarłe, naraz zmartwychwstawały i nie bez skutków walczyły o swe zdeptane prawa. To nasunęło mu myśl, że gdyby rusini galicyjscy chcieli pójść w ślady Czechów lub Chorwatów, w takim razie mogliby osięgnąć nie mniejsze rezultaty i wkrótce zajęliby godne ich miejsce wśród innych Słowian. Ponieważ wówczas prawie jedynymi przedstawicielami narodowości ruskiej w Galicyi byli chłopi, więc Szaszkiewicz postanowił rozpocząć pracę około odrodzenia narodowości ruskiej od uświadomienia mas ludowych; pod wpływem zaś prac ukraińców przyszedł do przekonania, że oświatę trzeba dać ludowi nie w martwym języku cerkiewnym, ani też w obcym mu, choć bliskim polskim, ale w jedynym, całkiem dla niego zrozumiałym ludowym, *małoruskim.*

Na uniwersytecie Szaszkiewicz zaprzyjaźnił się z akademikiem Hołowackim, który również interesował się sprawami słowiańskiemi i zapisywał pieśni ludowe. Hołowacki zapoznał go ze swym kolegą Wagilewiczem i oto trzej młodzi ludzie poczęli obmyślać środki do rozbudzenia narodowego ruchu ruskiego. Postanowili oni zorganizować tajne stowarzyszenie pomiędzy akademikami i seminarzystami i wkrótce istotnie

zebrała się kupka ludzi, którzy przysięgli pracować dla ludu. Najruchliwszym członkiem tego kółka był Szaszkiewicz, którego po raz drugi przyjęto do seminarjum. On to rozpoczął propagandę patryotyczną pomiędzy seminarzystami. Językiem towarzyskiem wówczas był wyłącznie polski; młodzież ruska czytała wyłącznie utwory literatury polskiej, wiele z młodzieży ruskiej należało do tajnych stowarzyszeń polskich i brało czynny udział w ówczesnym polskim ruchu demokratycznym. Ruch ten, mający przedewszystkiem na celu poprawę fatalnego położenia ludu, bardzo dobroczynnie wpłynął i na młodzież ruską, tak że i ona poczuła się do obowiązku pracować dla ludu i przedewszystkiem, ma się rozumieć, dla *własnego* ludu. Jednakże młodzież ta nie mogła nie spostrzec, że dzięki wpływowi kultury polskiej, dzięki językowi polskiemu, który stał się dla nich rodzinnym, była ona zupełnie oderwana od ludu. Rzuciła się więc ona gorączkowo do nauki mowy ruskiej i poczęła mowy tej używać w stosunkach towarzyskich. Pierwszy przykład tego dał swym towarzyszom Szaszkiewicz. Nie poprzestał on na tem. Oto począł dowodzić kolegom-teologom potrzeby przemawiania z kazalnicy do ludu w jego języku. Pod wpływem Szaszkiewicza wychowańcy starszego kursu, którzy wkrótce mieli zostać księżmi, dali słowo, że będą mówili kazania po rusku. W istocie jeden z nich (Pleszkiewicz) przygotował ruskie kazanie, które miał wypowiedzieć w jednej z cerkwi lwowskich. Wyszedłszy na kazalnicę i przeczytawszy cerkiewny tekst ewangelji, chciał on już rozpocząć kazanie, ale naraz zobaczywszy przed sobą inteligentną publiczność, zmięszał się tak, że nie mógł wymówić ani jednego ruskiego słowa i począł, jąkając się i płacząc tłomaczyć rękopis kazania na język polski. Po tej pierwszej tak niefortunnej próbie seminarzyści postanowili zaprowadzić pierwej kazania ruskie po wsiach, a potem już w miastach. Jednakże Szaszkiewicz dopiął swego, gdyż wkrótce razem z dwoma swymi kolegami miał ruskie kazanie w trzech cerkwiach lwowskich. Od tego czasu język ludowy począł coraz to częściej rozlegać się z kazalnic tak wiejskich jak i miejskich cerkwi unickich.

Młodzież postanowiła zaznaczyć swą odrębność narodową i w literaturze. Szaszkiewicz starał się uzyskać pozwolenie na wydawanie pisma ruskiego, jednakże cenzura założyła przeciwko temu stanowcze veto. Wówczas seminarzyści wpadli na pomysł wydania zbiorku różnych prac literackich prozą i wierszem p. t. „Zoria“. Jednakże i ten zamiar nie mógł przyjść do skutku, ponieważ i cenzura i konsystorz lwowski uznali za niestósowne drukowanie książek w języku „chłopskim“. Policja zaś zwróciła baczną uwagę na Szaszkiewicza, Hołowackiego i Wagilewicza, u pierwszego z nich dokonano nawet rewizji i niemało zachodów kosztowało go usprawiedliwienie się przed policją i konsystorzem. Kiedy nareszcie konsystorz uznał, że w zamiarach młodzieży nie było nic zdrożnego, wówczas Szaszkiewicz razem z Hołowackim postanowili dopiąć celu i wydać chociażby część „Zori“.

Hołowacki, który przebywał czas jakiś na Węgrzech, miał nadzieję, że zbiorek ten uda się wydrukować w Peszcie. Istotnie, cenzura peszteńska pozwoliła drukować rękopis, przysłany jej przez Szaszkiewicza i w roku 1837 w Peszcie był wydany zbiorek „Rusałka Dniestrowa“ w ilości 1,000 egzemplarzy.

Jednakże los tej pierwszej książki był nader opłakany. Właśnie około tego czasu we Lwowie policja wyśledziła spisek, w którym brali udział i niektórzy członkowie kółka Szaszkiewicza, współpracownicy „Rusałki“. Aresztowano ich i zamknięto w Szpilbergu. „Rusałkę“ zaś, czyli raczej 900 jej egzemplarzy, przysłanych przez Hołowackiego z Pesztu, skonfiskowano. Policja austryacka wpadła na domysł, że pomiędzy rewolucyjnemi dążnościami Polaków, a ruchem ruskim istnieje jakiś związek, wskutek czego postanowiła traktować je w jednakowy sposób. Wyższy kler ruski szedł ręka w rękę z policją i wszelkimi sposobami usiłował zniszczyć ruch młodzieży. Najcięższe prześladowania spadły na Szaszkiewicza i Hołowackiego, których uważano za „hersztów buntu“. Nie wyświęcano ich bardzo długo na księży, pozbawiając w ten sposób wszelkich środków do życia. Wagilewicza zmuszono dać przyrzeczenia na piśmie, że nic nie będzie pisać i drukować ani w Galicyi, ani za granicą; dano mu parafiję w zapadłym kącie górskim, ale i potem nie ustawały prześladowania. Nareszcie Wagilewicz widział się zmuszonym przejść na protestantyzm i umarł prawie z głodu. Szaszkiewicz zmarł kilka lat potem (1843), mając lat 32, zmęczony i złamany nieustannemi prześladowaniami. Wszyscy jego rówieśnicy i koledzy rozproszyli się po Galicyi, i większość ich porzuciła wszelką myśl o pracy dla ludu, o odrodzeniu narodowości ruskiej, o założeniu literatury narodowej i t. d. Po rozbiciu kółka Szaszkiewicza znowu nastąpiła martwa cisza, która trwała do końca czwartego lat dziesiątka.

III.

Nadszedł rok 1848. Hrabia Stadjon, gubernator Galicyi ogłasza zniesienie pańszczyzny w Galicyi daleko wcześniej aniżeli to zostało dokonane w innych prowincjach Austryi. Jako przezorny polityk Stadjon postanowił szukać oparcia w żywiole ruskim, przeciwstawiając go Polakom o których lojalności mógł bardzo wątpić. Rozumiał on też, że narodowego ruchu rusinów nie można całkiem wykorzenić, że nie dziś to jutro ruch ten może się tam spotęgować, że z czasem trudno się z nim będzie uporać. Widział on, że dla rządu austryackiego daleko dogodniej jest dać rusinom natychmiast i dobrowolnie to, co oni w najbliższej przyszłości własnymi siłami zdobyć potrafią. W ten sposób zamyślał on zaskarbić wdzięczność rusinów i pozyskać w nich wiernych sprzymierzeńców w walce z Polakami. Z jego inicyatywy we Lwowie została zwołana „Główna Rada ruska“, składająca się z przedstawicieli narodu ruskiego. Zjechało się około 300 rusinów, przeważnie księży, którzy mieli wypracować program polityczny dla Rusi halickiej. Ci przedstawiciele zaznaczyli, że Rusini galicyjscy należą do 15 miljonowego narodu małoruskiego, odrębnego i od Polaków i od Rosjan. „G. Rada“ ogłosiła, że ma przedewszystkiem na celu odrodzenie narodowości ruskiej i zabezpieczenie praw danych jej przez rząd. Za pierwszy środek do osiągnięcia tego „G. R.“ uważa zachowanie greckokatolickiego obrządku i zrównanie praw kleru unickiego z prawami księży innych obrządków. Obok tego „G. R.“ postanowiła czynić starania w celu wprowadzenia języka ludowego do wszystkich szkół i dążyć do tego, aby język ruski był uznany w Galicyi Wschodniej za urzędowy. Za przykładem „G. R.“ na prowincyi poczęły się organizować stowarzyszenia polityczne w celu obrony interesów ruskiej ludności Galicyi, w których brali udział i włościanie. We Lwowie ukazało się pierwsze pismo ruskie „Zoria halycka“, które stało się organem „G. R.“ Ażeby i inni Słowianie wiedzieli o dążnościach Rusinów, „G. R.“ wysłała na zjazd słowiański do Pragi trzech delegatów.

Aczkolwiek „G. R.“ dużo mówiła o oświacie ludu, jednakże sprawa ta szła bardzo opornie, pomimo, że sami chłopi wciąż udawali się do „G. R.“ z prośbami o założenie szkół. „G. R.“ pomijala milczeniem żądania ludu i zwróciła największą uwagę na zakładanie towarzystw, które miałyby na celu rozwijanie literatury ruskiej.“ We Lwowie zwołano t. z. „zjazd uczonych ruskich“, którzy wypracowali plan pracy literackiej dla rusinów, zaznaczywszy przedewszystkiem, że literatura rusinów galicyjskich powinna rozwijać się w języku ludowym, chociaż niektórzy „uczeni“ twierdzili, że najodpowiedniejszym językiem literackim dla rusinów byłby cerkiewno-słowiański. Na początek postanowiono przełożyć z cerkiewnego na małoruski modlitewnik, wydać kodeks praw po małorusk[i]

---

7)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

Jest to mężczyzna lat pięćdziesięciu, wysoki, łysy, z głową osadzoną głęboko w ramionach i plecami wygiętemi pałąkowato. Resztki czupryny i rzadkie faworyty okalają twarz wywiędłą, suchą, o kolorze szarego papieru. Zimne i tak bezbarwne, że w nich prawie źrenic nie widać, oczy pana radcy patrzą z uwagą na wszystko, co się dzieje i wszystkiemu, cokolwiek by się działo, przypisywać się zdają taką wagę i doniosłość, jakby w jadalni państwa Kłuckich dokonywała się jakaś akcya, stanowiąca o całości i bezpieczeństwie cesarstwa. Zauważyłem, że ten dygnitarz ma na sobie tużurek bardzo dawnego fasonu, koszulę z gorsem, ozdobionym falbankami i zakładeczkami (epoka wojny francuzko-pruskiej) i krawat zupełnie spłowiały.

— Pan Maurycy Zych — rzekł Rogowicz, trącając dosyć poufale pana radcę w ramię, — pragnie przedstawić się panu.

— A pan Maurycy Zych... chłodno zamruczał stary urzędnik, — bardzo mi... tego... Tańczył pan z moją córką... Bardzo dziękuję.

Podał mi długą i kościstą rękę, stworzoną do brania łapówek i posadził obok siebie.

— Tańczył pan z moją córką, widziałem... — powtórzył z drewnianym, bezmyślnem i niemiłym uśmiechem.

— Panna Jadwiga znakomicie tańczy...

— Aha — tak.., znakomicie tańczy. Bardzo dziękuję.

Panna Zapaskiewiczówna siedziała dosyć daleko. Od czasu do czasu podnosiła głowę i spoglądała z pod oka na mnie i na ojca. W blasku lamp i świec, padającym wprost na nią, wydawała mi się jeszcze bardziej dziwną. Dolna część jej twarzy nacechowana była stałym, nieznikającym uśmiechem, a oczy i czoło ginęły w zamyśleniu i smutku, niby w ciemności. Zadałem sobie pytanie — po co właściwie ja się nią zajmuję? Czy jej mogę przynieść jakąkolwiek pomoc, a choćby pociechę? Ani pierwszej, ani drugiej. Chyba oświadczyć się... Nie zachwycała mię wcale. Wiedziałem dobrze, że w tydzień po ślubie obrzydłaby mi jej figura, jej ręce czerwone i szorstkie, a nawet ta posępność oblicza. Zresztą — z czegóżbyśmy żyli. Chyba z lekcyi patryotyzmu, które mam udzielać pannie Kłuckiej. A może, — rozmyślałem, — któż to wie?... Może ona będzie szczęśliwą z tym Izmaiłowem? To, co dziś przedstawia sobie jako niedolę, już po upływie roku uważać będzie zapewne jako los nietylko znośny, ale poprostu wyśmienity. Utyje, Izmaiłowa umieści pod pantoflem, wypięknieje i będzie cięła romanse z melancholijnymi porucznikami i namiętnymi majorami. Teraz jest niewątpliwie nieszczęśliwą, ach, jeszcze jak! Dość spojrzeć... Powiedziałem do niej kilka słów nierozważnych, które jej może przychodziły na myśl i przez to jeszcze wyraźniej uwydatniłem cały ten los, godny litości. Teraz może zestawia mnie z Izmaiłowem i może błąka się w jej sercu głucha, bojaźliwa i — to trudno — skazana na zagładę nadzieja. Tak, tak... Będę nikczemnikiem, jeżeli ta dziewczyna zakocha się we mnie... Będę jednym z tych błaznów, którzy zaludniają świat współczesny, jednym z tych kłamców, co frazes szumny noszą na ustach, a nicość w sercu. Po co było gadać, po co, po co? Zaledwie ją zobaczyłem, jużem ją skrzywdził. Tak pokrzepiony na duchu, pod-

i przygotować podręczniki gimnazyalne. Zjazd uczonym założył towarzystwo oświaty, które wkrótce potem było nazwane „Hałycko-ruska Matycia“. Na posiedzeniach „G. R.“ został uchwalony projekt „Domu narodowego“, który miał stać się środkiem całego ruchu ruskiego. „Dom nar.“ miał mieścić bibliotekę, drukarnią, muzeum, księgarnią, salę dla zgromadzeń i scenę dla przedstawień teatralnych. W całej Galicyi zbierano składki na tę instytucyę i wkrótce, głównie pomiędzy włościanami zebrano taki kapitał, że zjawiła się możność urzeczywistnienia zamierzonego planu.

Wybudowanie „Domu narodowego“ było ostatnim aktem „Głównej Rady“. Wkrótce potem (1851) zawiesiła ona swe czynności i rozpadła się. To niedługotrwałe istnienie „G. R.“ nie mogło przynieść wielkich korzyści rusinom z tego powodu, że członkowie jej przedewszystkiem myśleli o własnych sprawach, wcale nie zwracając uwagi na potrzeby ludu. Kler według zdania członków „G. R.“ był „główną i najważniejszą“ częścią narodu, wskutek czego troszczyli się oni prawie wyłącznie o polepszenie bytu księży, o zwiększenie ich płacy i t. d., a żądania ludu zbywali tłomaczeniem książek do nabożeństwa. Członkowie „G. R.“ albo przynajmniej większość ich odnosili się do ludu z nietajoną pogardą i nietylko nie chcieli poprzeć ich uzasadnionych żądań, ale wprost trzymali z obywatelami, którzy usiłowali odebrać chłopom i te okruchy, jakie tym ostatnim dał rząd. „G. R.“ ani pomyślała o tem, że rusini tylko wówczas będą stanowili siłę z którą zmuszeni będą się liczyć i Polacy i rząd, jeśli inteligencya ruska zdoła oprzeć się na ludzie i być wyrazem jego dążności. We wszystkich postępkach „G. R.“ daje się spostrzeć bezgraniczna nadzieja na miłosierdzie rządu, który powinien podtrzymywać rusinów jako lojalnych i wcale dla całości Austryi nieszkodliwych poddanych. W istocie, dopóki rząd potrzebował pomocy rusinów, do tego czasu ich podtrzymywał, ale jak tylko potrzeba przeminęła, rusini zostali całkiem opuszczeni.

W życiu rusinów jeszcze raz nastąpił okres zupełnego upadku i zupełnej bezczynności, który trwał aż do 7go lat dziesiątka, kiedy we Lwowie został otwarty sejm, a z Rosyi do Galicyi poczęły dostawać się idee ukrainofilstwa. Pomiędzy rokiem 1851 a 1861 tylko raz jeden inteligencya ruska dała znak życia, ale i to z powodu, który nie miał głębszego znaczenia. Mianowicie sekretarz ministerjum oświaty Czech Jreczek wypracował na żądanie władz nową pisownię dla języka małoruskiego według wzoru czeskiego. Projekt rządowy spotkał opozycyę ze strony całego społeczeństwa ruskiego i dawna pisownia została uratowana.

Nawet otwarcie sejmu we Lwowie (1861) — fakt nadzwyczaj ważny, ponieważ dla rusinów zjawiała się możność samodzielnej działalności politycznej — nie zdołało tchnąć życia w inteligencję ruską. Kiedy zaś rząd objawił życzenie zwołania ogólno-austryjackiego parlamentu, rusini wcale jeszcze nie wiedząc, o ile to dla nich będzie korzystne, pospieszyli zaznaczyć swą lojalność względem rządu, ułożyli „adres zaufania“ dla ministerjum i wysłali deputacją dziękczynną do Wiednia. Rząd widząc, że rusini będą doskonałem narzędziem jego zamiarów, dopuścił do sejmu 40 posłów ruskich, którzy atoli są wybornym hamulcem dla dążności posłów Polaków, pomiędzy którymi wówczas było dużo przedstawicieli ludu polskiego, który nigdy nie objawiał żadnej nieprzyjaźni względem rusinów. Ci przedstawiciele ludu polskiego dążyli do polepszenia stanu ekonomicznego tak polskich jak i ruskich chłopów. Z tymi to właśnie posłami powinni byli iść ręka w rękę rusini, gdyby im co zależało na interesach własnego ludu. Tak jednak nie było. I w parlamencie wiedeńskim delegaci ruscy odgrywali taką samą rolę na szkodę własnego narodu i całego kraju, którego byli przedstawicielami. Podtrzymywali oni partję niemieckich centralistów i zajmowali stanowisko opozycyjne nietylko względem Polaków, ale i względem Węgrów i Czechów. Właściwie Rusini wcale nie uważali za potrzebne zdobywać coś drogą walki parlamentarnej, woleli oni system adresów i petycyj wprost do ministerjum. Jednakże prawie na wszystkie swe petycje Rusini otrzymywali grzeczną ale stanowczą odpowiedź odmowną. W ten sposób konstytucja, którą otrzymała Galicya, nie przyniosła żadnej korzyści z winy ruskiej inteligencji ani jej samej, ani tem mniej chłopom ruskim, którzy po staremu byli zupełnie opuszczeni. Co się zaś tyczy literatury ruskiej, to od roku 1843 do 1861 nie pojawiło się prawie nic, coby z jakiegokolwiek względu zasługiwało na uwagę, a inteligencja ruska po szumnych frazesach o niezbędności literatury w języku ludowym, powróciła do dawnego języka cerkiewno-słowiańskiego. Jednakże pomimo to wszystko, pomimo zupełnej bezkarnosci politycznej i literackiej działalności inteligencji ruskiej świadomość narodowa Rusinów wciąż wzrastała: wzrastało również i niezadowolenie z tej roli, jaką odgrywali Rusini w Austryi. Młoda inteligencja, głównie akademicy i w ogóle ludzie, nie należący do stanu duchownego, przyszli do przekonania, że czas zmienić politykę ruską.

Leon Wasilewski.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Główny organ Czechów śląskich, staroczeski „*Oparsky Tydennik*“ pisze o *kwestyi czesko-polskiej* na Śląsku, co następuje:

„W dziennikach galicyjskich pojawiają się od czasu do czasu korespondencye ze Śląska, których autorowie fałszywie przedstawiają nasze stosunki. Co do nas, to nie mamy wątpliwości że korespondencye te pisują Polacy, chcący oddać naszym Niemcom usługi, gdyż tylko Niemcom zależeć może na wywołaniu niezgody pomiędzy bratniemi narodami, aby z tej niezgody wyciągnąć dla siebie korzyści. Z takiego to mętnego źródła pochodzi korespondencya, umieszczona w „Dzienniku Polskim“, w której autor rozpisuje się o wyborach, jakie miały miejsce do rad gminnych, w której Czesi wyparli rzekomo Polaków.

Fakta w korespondencyi podniesione, są umyślnie poprzekręcane, jak to niżej wykażemy. Na Śląsku rozdawają urzędy i posady władze krajowe, gdzie ani Czesi, ani Polacy nie zasiadają, jedni drugim więc szkodzić nie mogą. Również kopalnie znajdują się w rękach chlachty niemieckiej lub też żydów, nie może więc być mowy, aby Czesi na robotników w kierunku wynaradawania wpływali.

„Dotąd odbyły się wybory do rad gminnych w dwóch gminach: w Michałkowicach jest Czechów według spisu ludności 1,150, Polaków 47, żydów i Niemców 54. Jeżeli więc tutaj wybrano radę czeską, to nie ma mowy o wypieraniu Polaków, gdyż zwycięstwo Czechów było następstwem całkiem naturalnem. W Zabłociu było według spisów urzędowych 505 Czechów, a 31 Polaków, i tam wybrano Czechów, czego żadną miarą nie można uważać za zwycięstwo nasze. O walce Polaków z Czechami nie było wcale słychać. Korespondent doniósł więc wręcz kłamstwa redakcyi „Dziennika Polskiego“, których cel jest każdemu widoczny. Niemcy starają się tutaj wszelkiemi sposobami o wzniecenie nienawiści i takiemi korespondencyami burzą polski ogół przeciw Czechom.

„W tejże korespondencyi podniesiono jako fakt wysoce Polakom nieprzyjazny, że Czesi chcą założyć we Frydku czeskie gimnazyum. Frydek był zawsze czeskim i głosami swymi dopomagał on do wyboru ks. Świeżego w okręgu Cieszyńskim wiejskim. Dopiero w ostatnim czasie poczęło się miasto niemczyć i żywioł czeski upadać.

---

jąłem dalszy ciąg rozmowy z panem Zapaskiewiczem:

— Córce szanownego pana coś bardzo asystuje nasz Apollo pułkowy, sztabs-kapitan Izmaiłow...

Referent uśmiechnął się ni w pięć ni w dziewięć i zatkał sobie usta dużym kęsem cielęciny.

— Jaki on ma piękny nos! — ciągnąłem. — Bo to i kształt i kolor. Z tego Izmaiłowa to rzeczywiście szczególny człowiek. Niech pan tylko zwróci uwagę, panie radco, na to, że syn sztabs-kapitana nie będzie potrzebował, ani się osobiście rozpijać, ani długo czekać na znajomość z apteką. W czwartym miesiącu życia będzie już miał delirium tremens, a wprost z kołyski pojedzie do Świętego Łazarza.

— Złośliwy z pana młody człowiek, — mówił Zapaskiewicz, przepłukawszy gardło kieliszkiem nędznego wina. — A wie pan, że to jest pożądny człowiek, z dobrej familii, sam ze siebie zamożny, no — i pensyę ma wcale nie złą. Właśnie teraz ma zamiar rzucić służbę i starać się o posadę naczelnika straży ziemskiej...

— Chwalmy za to pana Zastępów, tylko, że to nic nie ma wspólnego z jego nosem. Pierwszego rozbioru nosa już nie cofnie, choćby został nawet szefem żandarmów.

— Coś pan sztabs-kapitana nie lubisz, panie Zych. A może pana zaliczono do jego roty — co?

— Niestety, nie.

— Ejże..,

— Daję panu słowo, że nie, czego bardzo żałuję. W czasie wojny, naprzykład, gdybyśmy, czego Boże broń, utracili sztandar, możnaby Izmaiłowa zatknąć na kiju i nieść przed wojskiem, jako symbol i wyobrażenie państwa, Wiedziałbym przynajmniej, w jakim kierunku uderzać na nieprzyjaciela.

Mówiliśmy po cichu, a mimo to radca rzucał dokoła przerażone spojrzenia, następnie zaś skierował do mnie surową uwagę:

— Zbyt wiele sobie pan pozwalasz! Młody człowiek nie powinien nawet myśleć o takich rzeczach...

— A czyliż tylko starzy ludzie mają przywilej na obrzydzenie do nosa kapitańskiego?

— Nikt się tu Izmaiłowem nie brzydzi! — rzekł cierpko radca i począł w gniewie ruszać szczękami, jakby coś przeżuwał.

Znajomy ostry kaszel zwrócił moją uwagę w chwili, gdy miałem najmocniejsze postanowienie wylewania złości na łysinę chudego referenta. Spojrzałem po gwarnym tłumie i dostrzegłem kaszlącego Wilkina. Siedział bokiem zwrócony do najbliższego sąsiada, nie patrzał na najbliższą sąsiadkę.... Pił wino małemi haustami i pokaszlywał. Gładko na skroniach przyczesane włosy uwydatniały okropną chudość jego twarzy.

— Zna pan doktora Wilkina? — zapytałem referenta.

— Ktoby jego nie znał! Niezły lekarz, jeśli trafić na chwilę dobrą. U mnie dzieci stado, — chorują. Jak panu przyjdzie na tego człowieka kanikuła — ani weź; gotów dziecko otruć! Jak trzeźwy, — tylko proszek, czy tam pigułkę zapisze — i jak ręką odjął.

— Pan radca ma dużą rodzinę?

— Ośmioro dzieci, panie.

— Dorosłych?

— Gdzie? — Owies. Ot — najstarsza ma dziewiętnaście lat, a najmłodsza pięć.

— Córki, czy synowie?

— Pięć córek, dziękuję bardzo: i trzech synów.

— Synowie chodzą do szkół?

Stary jegomość posępnie wstrząsnął głową. Widać było na jego twarzy i w oczach powrót troski, która odeszła na małą chwilę.

— Proszę pana, — ja mam pensyi, jedno z drugiem, pięćset rubli. Jakże pan możesz dać edukacyą dziecku, kiedy za samą stancyą od jednego chłopca, gdyby go oddać do gimnazyum, trzeba płacić dwieście rubli? A wpis, a mundur, a książki? No — a tu trzeba oddać trzech, bo jeden w drugiego chłopaki *z objęciem*. Co to zresztą warto... Nauka, na-

Gimnazyum czeskie nie byłoby tylko Niemcom na rękę i oni to najwięcej instytucyi tej się obawiają. Korespondencye tego rodzaju, którą umieścił „Dziennik Polski“ mogą być miłe Niemcom i żydom, a więc naszemu wrogowi wspólnemu usługi oddają...“

* * *

O obecnej sytuacyi politycznej w Chorwacyi piszą ze Zagrzebia do słowiańskiego pisma „*Slovenski Narod*“, co następuje:

„Wszędzie u nas czuć rękę bana chorwackiego, hr. Kohnen-Hederwary'ego... opanował on wszystko, rządzi wszechwładnie wszystkiem i intryguje na każdym kroku. W sejmie jest mu 88 posłów posłusznych na każde skinienie, a zaledwie kilkunastu stawia opozycyę. Zagrzeb powoli się niemczy i madziaryzuje. Teraz już bowiem, gdy idziesz ulicą słyszysz już panie rozmawiające po niemiecku, lub też urzędników, którzy demonstacyjnie swoją madziarszczyzną się popisują. Tymczasem opozycya zamiast zwrócić się przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi walczy do upadłego ze sobą i osłabia się wzajemnie. Ban spokojnie na to patrzy i uśmiecha się, gdy widzi jak jego właśni nieprzyjaciele za niego pracują. Nasze dwa głowne organa „Obzór“, reprezentujący stronnictwo Strommayera i „Hrvatska“, organ t. z. „Prawaszów“ (stronnictwa praw historycznych), wzajemnie się oczerniają, kompromitują i dołki pod sobą kopią.

„Nie można dziś wziąć do ręki pisma chorwackiego, aby na każdem miejscu nie spotkać się z napaściami osobistemi na członków partyi przeciwnej. Największą przyjemność sprawia sobie „„Obzorasz““ jeżeli, któremuś ze stronnictwa prawa może wytknąć jakiś brudny postępek, aby tym sposobem uniemożebnić mu działalność publiczną. Czytelnik bezstronny czytając te ciągłe kalumnie odwraca się od jednego i drugiego stronnictwa, popada w ręce stronnictwa rządowego, albo też staje się zupełnie apatycznym. Co dziwna, to fakt ten, że właściwi zdrajcy narodu, którzy chcą Chorwacyą dobrowolnie wydać na pastwę madziaryzacyi, bywają ochraniani: ich ani „Obzor“, ani „Hrvatska“ nie zaczepia... Nie ma wątpliwości, że jeżeli pójdą tam samym torem dalej, spełnią się życzenia bana: Chorwacya stanie się z odrębnego królestwa prowincyą madziarską...“

* * *

W młodoczeskich „*Narodnich Listach*“ czytamy:

„W ostatniej chwili wracają pisma polskie do pewnej równowagi wobec wycieczek przeciwko Czechom. Tak „Gazeta Narodowa“ pisze, że wcale nie leży w interesie polskim zrywanie z Czechami stosunków wszelkich; a „Czas“ krakowski uniewinnia się, że Polacy posłów młodoczeskich nie zaprosili do Lwowa, podnosząc, że wówczas musieliby z osobna zapraszać i antyunionistów i prusofilskich posłów austryackich, czego uczynić nie chcieli.

„Tylko „Przegląd“ lwowski dmie dalej w trąbkę antysłowiańską, występując przeciw skargom Słowaków i Serbów uciskanych przez Madziarów, które to skargi według rzeczonego. pisma nic Polaków nie obchodzą. Warto pismu temu przypomnieć, że Polacy alarmują całą Europę z powodu ucisku narodowego i religijnego, jakiego doznawają w Rosyi. Czyżby więc Europa miała tym samym sposobem na nie odpowiedzieć, co „Przegląd“ na skargi Słowian węgierskich?

„Aczkolwiek te wstrętne głosy prasy polskiej notujemy, to przecież nie myślimy czynić za nie odpowiedzialnym całego polskiego narodu. My stoimy po stronie chłopa polskiego wyzyskiwanego i ciemiężonego, który z polityką panów polskich nie ma nic wspólnego...“

SPRAWY EKONOMICZNE.

Uwłaszczenie w Ziemiach Pruskich i jego skutki.

I.

Stosunki agrarne w ziemiach pruskich zwracać na siebie zaczynają coraz pilniejszą uwagę uczonych badaczów i publicystów.

Niepomierne obdłużenie uprzywilejowanej wielkiej własności obok nizkich cen zboża i nie dość jeszcze taniego i obfitego robotnika wywołują żale i skargi agraryuszów. Z drugiej strony robotnik wiejski, skazany na koczujące „obieżysastwo“, skarżyć się również zaczyna na byt swój niezapewniony i nizką cenę płacy zarobkowej. Stan włościański również w upadku, w obdłużeniu i rozdrobnieniu. Dodawszy do tego wzrastające wciąż ciężary podatkowe, uciążliwą służbę wojskową i inne dobrodziejstwa prusko-niemieckiej hegemonii, otrzymawszy w rezultacie tłumną emigracyę zamorską i wyludnienie kraju, wschodnich szczególniej prowincyi, czemu zaradzić nie mogą eksperymenty germanizacyjno-kolonizacyjne, podejmowane obok wielu wpływów ujemnych najnowsze prawodawstwo, zaprowadzające stare czynszownictwo w formie t. zw. „włości rentowych“, nabywanych z pomocą finansową rządu, jest raczej wskazówką naglących potrzeb w tym kierunku, niż wzorem skutecznego działania.

Dla należytego i wszechstronnego poznania tych stosunków trzeba było zbadać przedewszystkiem pilnie i bezstronnie ich genezę; przyjrzeć się, w jaki sposób wytworzyły się obecne stosunki agrarne w ziemiach pruskich i poruszyć zapomnianą już, zdawało się, sprawę uwłaszczenia włościan.

W tej ostatniej kwestyi panowały dotychczas oklepane komunały, przepełnione z jednej strony liberalnymi zachwytami nad „nową erą“ pracy nie pańszczyznianej, przymusowej, lecz wolnej, najemnej — z drugiej panegiryzmem urzędowym, przypisującym całą zasługę tej przemiany dobroczynnej działalnoścі pierwszych czterech królów pruskich, którzy znieśli w ziemiach pruskich niewolnictwo pańszczyźniane, nim jeszcze rewolucya francuska rozbiła ostatnie ogniwa pańszczyźnianej zależności na Zachodzie... Późniejsze prawodawstwo miało tylko uzupełnić i uregulować królewskie te dekrety i rozporządzenia...

Po bliższem zbadaniu wszystko to w innem nieco występuje świetle. Ostatniemi laty w niemieckiej literaturze naukowej i wydawnictwach specyalnych pojawiło się wiele prac źródłowych i wyczerpujących monografii, rzucających nowe światło, zarówno na samo powstanie pańszczyźnianej zależności, jak i na późniejszą jej zamianę na inne formy gospodarczo-społeczne. Pomiędzy temi pracami jedno z pierwszych miejsc zajmuje wyczerpujące dzieło Jerzego Fryderyka Knappa, wydane w r. 1887 w dwu częściach p. t. *Die Bauernbefreiung und der Ursprung der Landarbeiter in den aelteren Theilen Preussens.* Posiłkując się materyałem, nagromadzonym w tej pracy, autor miał następnie w różnych miejscowościach cztery odczyty, poświęcone tejże sprawie, które potem wyszły w Lipsku, 1891 roku, pod ogólnym tytułem: *Die Landarbeiter in Knechtschaft und Freiheit.**) Przy odczytach posiłkował się autor i innemi pracami, które się później pojawiły, a nadto jeden z odczytów poświęcił sprawie powstania niewolnictwa w za-

*) Liepzig 1891.

---

uka... Dziękuję bardzo! Córkę oddawałem na pensyę... Najstarsze dziecko... coś tego...

Machnął ręką z wielką pogardą i prawił gniewnie:

— Uczyli ją tam przeróżnych fanaberyj... Umie tańczyć... jakoś się nazywa... czukaczę... Coś w tym guście. Ogromnie jej się to przydało, bo właśnie teraz musi myć podłogi i szorować rondle. To samo z chłopakami. Cztery, albo pięć lat greckiego po to, ażeby przez całe życie w powiecie, albo gminie przepisywał papiery, w których niema ani jednej litery łacińskiej...

— Hm... A czy to najstarsza córka nie mogłaby pracować na siebie?

Stary zezem spojrzał na mnie i nierychło zapytał:

— Gdzie? jak?

— Małoż to kobiet zarabia na życie!

— A wiem. Tylko ja dziecka na taki proceder nie dam. Uczciwa nie zarobi na życie.....

— Ja mówię tylko o uczciwych.

— No, to uczciwa nie zarobi tyle, aby się wyżywiła i pomagała rodzinie.

— A... pomagała rodzinie...

— Tak, panie, dziękuję bardzo! Zadanie kobiety: — iść za mąż...

— Pewno. A jakże pan myśli chłopców pokierować?

— Do wojska *huncwotów* pooddaję.

Nie zdołałem zapytać się na jakich warunkach *huncwoty* pana radcy oddane zostaną do wojska, skoro wstąpienie do szkoły junkrów wymaga ukończenia sześciu klas gimnazyalnych, — bo nagle w sali wszczął się gwałtowny łoskot odsuwanych krzesełek. Wszyscy obecni powstali z miejsc i szli z kieliszkami w ręku do solenizanta, pana Kłuckiego, aby go uścisnąć i wypić za jego zdrowie.

Przez chwilę miałem zamiar poprosić o głos i wygłosić piękną mowę z wyliczeniem zasług pana Kłuckiego w dziedzinie wsiekania i wmrażania unitom prawosławia, ale powściągnąłem ekstazę, ograniczając wybuch do trącenia kieliszkiem o kieliszek działacza, oraz do serdecznego życzenia: szanowny solenizancie! bodaj wino w twoim kieliszku przemieniło się na krew i łzy...

I na tem koniec dowcipu i nie więcej? — zapytasz może, kochany troglodyto. Nic a nic więcej, bo taki jest porządek rzeczy. Ale jeszcze chwileczkę cierpliwości. Wino było cienkie siedleckie, a jednak zrobiło swoje. W sali wzmagał się gwar, ten nieokreślony, wesoły gwar, jaki cechuje pierwszy stopień podniecenia ogólnego. Tu i owdzie słychać było głośniejszą rozmowę, albo srebrzysty, może o jednę oktawę za wysoki, śmiech kobiecy. Wznoszono przeróżne toasty. Nareszcie powstał siwowłosy, majestatyczny pan Koptiuchiewicz, nauczyciel gimnazyum w Białej, wykładający tam język i literaturę rosyjska, a nadto nie mniej rosyjską logikę, który specyalnie przyjechał na imieniny naszego gospodarza, — i drżącym od wzruszenia głosem wzniósł toast następujący:

— Piję za pomyślne, za szybkie, za skuteczne i zupełne zrusyfikowanie tego kraju! Niechaj ten toast obudzi w sercach naszych na nowo moc ducha: niechaj zapali bohaterską wytrwałość do pracy, do ciężkiego znoju, do twardej walki w imię świętej miłości naszej najdroższej ojczyzny i jasnej naszej prawdy! Niechaj zagrzeje tych, którzy wątpią, i umocni upadających w szlachetnym trudzie!

Powiedziawszy takie słowo, patryarcha podniósł do ust kieliszek, przechylił go i wypił wino w sposób zupełnie zwyczajny, jakby spełnił tak niezwykły toast najzwyczajniejszą, niedystylowaną gorzałką. Wszyscy zgromadzeni poszli za jego przykładem. Co za miny, co za miny! Jedni uśmiechali się dobrodusznie i łagodnie, inni przypominali osoby, którym ktoś niezręcznie wycina nagniotki, inni marszczyli czoła, jak ludzie kombinujący, jeszcze inni, a do tych i ja należałem zapewnie, wytrzeszczyli oczy na podobieństwo ludzi uchwyconych mocno za kark i wyrzucanych za drzwi bez żadnego z ich strony przewinienia. Napisałem, że powstali i opróżnili puhary — wszyscy. Popełniłem maleńkie kłamstwo, bo nie powstał i nie pił je-

morskich plantacyach kolonialnych, która to sprawa ma wiele podobieństwa z powstaniem stosunków pańszczyźnianych.

Zarówno plantatorskie niewolnictwo, jako i pańszczyzna są wytworem nowych czasów, instytucyą najzupełniej nowożytną. Powstanie i rozwój obu tych stosunków rozpoczyna się właśnie na progu historyi nowożytnej w wieku XVI, w wieku Odrodzenia i Reformacyi, najpełniejszy zaś rozkwit obu urządzeń przypada na tyle sławiony w. XVIII. Nowożytni i nowocześni literaci i humaniści przyzwyczaili nas uważać niewolnictwo i pańszczyznę za zabytek specyficznie „średniowieczny“, właściwy zupełnym czasom barbarzyństwa, ciemnoty i wiary religijnej. Okazuje się to jednak zwyczajnem kłamstwem tendencyjnem, powtarzanem często w dobrej wierze. Dzisiejsze bezstronniejsze badania wykazują, co stwierdzić możemy i w naszej historyi, że spotwarzane owe wieki średnie znały wolnego i zamożnego kmiecia, znały silne i kwitnące korporacye rękodzielnicze po miastach, znały miasta bogate i handlowe, znały zakony klasztorne, przodujące na polu kultury, urządzeń społecznych i miłosierdzia — znały wreszcie rycerstwo obowiązane do obrony kraju za niewielkie wynagrodzenie w naturze — nie znały jednak plantatorskiego niewolnictwa i pańszczyzny. Jest to najszpetniejszy nowożytny i postępowy dorobek.

W Niemczech, właściwie zaś we wschodnich marchiach i ziemiach zdobytych na Słowiańszczyźnie, podobnie jak w ziemiach pruskich zależność pańszczyźniana wzmaga się i przybiera w wielu miejscach charakter niewolnictwa, połączonego ze sprzedażą poddanych dopiero po wojnie trzydziestoletniej w połowie wieku XVII, potęguje się jeszcze bardziej po wojnie siedmioletniej i wówczas to świeżo narodzeni królowie pruscy: Fryderyk I (od r. 1700), Fryderyk Wilhelm I, Fryderyk II. W. i Fryderyk Wilhelm II., pobudzani z jednej strony wpływami „wieku oświecenia“, z drugiej potrzebą ludzkiego „Kanonenfutter“, wydają rozporządzenia, zakazujące sprzedaży poddanych i wogóle traktowania ich jako niewolników, starają się przytem bronić ziemi chłopskiej przed grabieżą ich panów, a Fryderyk II wydaje rozporządzenie, które jednak następnie zostało zniesione, że żadna chłopska parcela nie może być przyłączona do areału gruntów dominialnych.

Władza Hohenzollerów nie rozciągała się jednak początkowo zbyt daleko. W wieku XVIII Holsztyn, Meklemburg i Pomerania były to szlacheckie respubliki, z których pierwsza pozostawała w zależności od króla duńskiego, trzecia od szwedzkiego, Meklemburgia zaś miała własną dynastyę. Pańszczyźniana zależność niewolnicza nie miała tu żadnego wędzidła i sprzedaż poddanych bez ziemi była w tych krajach w wieku XVIII, jak świadczą kronikarze spółcześni, *quotidiana praxis*, potem jednak zwyczaj ten wyszedł z użycia.

Co się tyczy ziem pruskich owego czasu, to w nich pańszczyźniane niewolnictwo*) istnieć miało zaledwie sporadycznie. W Starej Marchii, na lewym brzegu Elby, zgodnie z opinią historyków, nie było go, podobnie jak w księstwie Magdeburskiem, leżącem po obu brzegach Elby. Nie miało go być również w pewnej części marchii Brandenburskiej i na Śląsku. W części Pomorza, należącej do Prus, nie miało być również „Leibeigenschaft“, w jednej atoli części marchii Brandenburskiej, w marchii graniczącej z Meklemburgiem (Uckermark) i w Nowej Marchii, leżącej na wschód Odry, niektóre świadectwa stwierdzają istnienie tej zależności. W Landrechcie pruskim z r. 1794, który jest właściwie zbiorem istniejących wówczas urządzeń i rozporządzeń w zakresie stosunków agrarnych, znajdujemy mianowicie uwagę, że rozporządzenie znoszące niewolnictwo, wpłynąć ma na zmianę odnośnych zwyczajów w Uckermark, Nowej Marchii oraz okręgach Bresków i Storków. Podobnie rzeczy stały na Górnym Śląsku i na Pomorzu, gdzie do r. 1763 władze państwowe nie przyjmowały żadnych skarg, pochodzących od włościan.

Co się tyczy Prus Wschodnich, to według niektórych historyków pruskich niewolnictwo (Leibeigenschaft) zaprowadzone tu być miało w dawnych czasach, jako kara za powstanie przeciwko władzy krzyżackiej czy pruskiej, zostało jednak zniesione w r. 1719, za Fryderyka Wilhelhelma I. Knapp utrzymuje jednak, że w Prusach Wschodnich nie było bynajmniej właściwego niewolnictwa, rozporządzenie zaś królewskie, podobnie tu jak i na Pomorzu miało jedynie na celu zapobieganie nadużyciom, równie jak obronę włościan. Po przyłączeniu Śląska Fryderyk II wydał w r. 1748 edykt, w którym powiedziane było, że w nowoprzyłączonym kraju znosi się poddaństwo w sensie niewolnictwa. Podobny edykt wydany został w roku 1773 po przyłączeniu Prus Zachodnich. Knapp zapewnia jednak, że w obu tych krajach niewolnictwo faktycznie nie istniało — edykty więc znosiły stosunki nieistniejące.

Co się tyczy Prus Zachodnich, przyłączonych od Polski po r. 1772, stwierdzone zostało stanowczo, mówi badacz niemiecki, że w dobrach koronnych niewolnictwo tam nie istniało, co się zaś tyczy dóbr prywatnych, być może, powiada, dowodów jednak na to niema. Knapp ostrzega przytem przed uprzedzeniem widzenia w czarnem świetle wszystkiego, co polskie i powiada, że wiadomo jest, iż w r. 1708 i 1718 chłopi z Pomorza i Prus wschodnich tłumnie uciekali do Polski — nie musiało więc im tam być tak bardzo źle. Autor zwraca przytem uwagę na wielkie rozdrobnienie polskiej własności szlacheckiej, jakie znaleziono w niektórych posiadłościach zachodnio-pruskich, czemu zdaje się dziwić. Knapp nie zna jednak zupełnie naszej drobnej szlachty zagonowej i wogóle niema żadnego pojęcia o sprawie poddaństwa w dawnej Polsce, ku temu brak wszelkich źródeł i opracowań w spółczesnej literaturze niemieckiej. Autor szczegółowo natomiast charakteryzuje przebieg sprawy pańszczyźnianej w Rosyi, opierając się na dziele Mackenzie Wallace'a i innych pracach niemieckich.

I w literaturze polskiej sprawa ta nie jest jeszcze należycie opracowaną. Prof. Bobrzyński, który w roku zeszłym wykładał historyę włościan w Polsce na uniwersytecie lwowskim ogłosił bardzo niedawno szkic przebiegu sprawy pańszczyźnianej w Polsce, z którego się okazuje, że i u nas pańszczyzna jest nowożytnego zupełnie pochodzenia. Mianowicie pokój toruński z r. 1466, na mocy którego część Pomorza, Prusy królewskie i Gdańsk powróciły do Polski, dał u nas początek natężonej eksploatacyi roli na wywóz i stosunkom pańszczyźnianym. Szlachta, która już pozbyła się wszelkich przesądów, idąc za głosem włoskiego Odrodzenia, która tłumnie stawała po stronie Reformacyi i zdobyła wkrótce poważną władzę w rządach kraju, na sejmach z r. 1496 i 1520, mówi wspomniany historyk, przywiązała włościan do roli i zaprowadziła przymusową robociznę na rzecz pana. Szlachta już wówczas przestaje być rycerstwem, wiadomo, że Kazimierz Jagiellończyk wojnę pruską prowadził przeważnie wojskiem najemnym — a staje się klasą wielkich i większych właścicieli ziemskich, produkującą, przy pomocy pańszczyzny, zboże na wywóz do Gdańska... Stosunki pańszczyźniane i w Polsce doszły do pełnego rozkwitu dopiero w wieku XVIII i w początku bieżącego stulecia.

Edward Przewóski.

*) W języku niemieckim rozróżniamy: „Leibeigenschaft“, najbardziej zbliżone do „Sklaverei“ i „Erbunterthänigkeit“. Pierwsi pruscy królowie występowali tylko przeciwko właściwemu pańszczyźnianemu niewolnictwu; uregulowanie dziedzicznych poddanych dokonane zostało dopiero w wieku bieżącym.

---

den tylko człowiek: — Wiłkin. No — ale ten mizerny człeczyna w daleko znaczniejszej mierze należy już do gatunku towaru, jaki ty rozpruwasz skalpelem, niż do gatunku ludzi, których wino jeszcze do czegokolwiek „zapalać, budzić i zagrzewać“ może. Tak się to przedstawiało na pierwszy rzut oka, a patrzajże, co ten kościotrupek zmajstrował. Oto, — kiedy już wszyscy usiedli i kiedy nastała chwila mdłej, głupiej i niezmiernie długiej ciszy, — ujął swój pełny kieliszek dwoma palcami za podstawkę, podniósł ga na wysokość oczu i, wpatrując się w płyn pod światło, powiedział z powagą, wyraźnie i dobitnie jedno tylko słowo:

— „*Skotina*“!*)

Dla czego on wygłosił taki wyraz, czy to była metafora, czy podmiot jakiejś oderwanej sentencyi, do którego orzeczenie miał zamiar dodać nieco później, czy może miał kogoś na myśli i jeżeli miał, to kogo mianowicie, — tego naturalnie wiedzieć nie mogę. Po upływie kilku sekund, nie ruszając się z miejsca, Wiłkin z rozmachem cisnął kieliszek daleko, w kąt pokoju. Cienkie szkło ze srebrnym brzękiem rozbiło się o gzems pieca i rozprysło na tysiąc drobniutkich okruszyn. Oczy wszystkich obecnych machinalnie zwróciły się w kierunku pieca. Po gładkich i białych taflach kaflowych spływała wązka smużka wina, podobna do łzy.

*) Bydlak.

Zapanowała cisza tak wielka, że mogłem słyszeć wyraźnie gwałtowne bicie serca pana Zapaskiewicza. Wiłkin tymczasem sięgnął po skibkę tortu i począł wygryzać lukrowane migdały, nie zdradzając żadnego innego uczucia, oprócz oznak brutalnego apetytu specyalnie do migdałów, apetytu zadziwiającego doprawdy w człowieku tak niesłychanie podobnym do zielonego trupa. Byłem pewny, że całe zgromadzenie lada chwila porwie się na nogi, wydrze doktorowi nadgryziony kawałek tortu, zmusi do wyplucia migdałów i zbije go na kwaśne jabłko. Tymczasem nikt nie zdradzał zamiaru nie tylko opuszczenia swego miejsca, ale nawet podnoszenia powiek. Nareszcie powstał pan Kłucki. Brr! Skostniałem. Pan Kłucki był blady, jak chusta. Oparł z mocą na stole obiedwie pięście, podniósł brwi tak wysoko, że dosięgały prawie tego miejsca, gdzie zaczyna się czuprynka u ludzi o niskiem czole, długo, jak można było wnosić, sądząc z pozoru, zbierał, ważył i szeregował myśli, a koniec końców wyrzekł głosem złamanym:

— Może szanowni państwo zechcą przejść do sali i rozpocząć tańce...

Przełożywszy zdanie powyższe na język polski, podał ramię pani naczelnikowej. Znowu powstał rumor odsuwanych krzeseł, zmięszany gwar podziękowań, dały się znowu słyszeć śmiechy damskie i wesołe, pieprzne, może nawet cokolwiek zanadto przeimbirowane męzkie dowcipy. Barwny tłum przesunął się do sali tańców, orkiestra zagrała siarczystego mazura i wtedy dopiero zaczął się bal rzeczywisty. Zaledwie ukazałem się w sali, przybiegł do mnie Rogowicz z prośbą, abym przetańczył mazura z jego narzeczoną, on bowiem ma do załatwienia rozmaite sprawy vice-gospodarskie. Skłoniłem się przed piękną panną i wyłuszczyłem jej powody, dzięki którym skazaną jest na moje towarzystwo. *Evoe Bacche!* jak ona się wtedy uśmiechnęła... Stanęliśmy do mazura. Ująwszy rękę panny Maryi, zrozumiałem dokładnie znaczenie słów Rogowicza: — wiesz, ja tak się w niej zakochałem, że jakby ona, czego Boże broń... i t. d.

Jest nie kobieta, nie panna, ale literalnie maszyna elektryczna Bunzena, notabene, maszyna, której przewodniki namiętnie i słodko ściskają cię za ręce. Byłem pewny, że nad jej ramionami unoszą się iskierki elektryczne i aby to szczególne zjawiso dokładniej obejrzeć pochyliłem w pierwszym zawrocie mazura nieznacznie głowę. Chociaż prawie dotknąłem ustami szyi, nie dostrzegłem żadnych iskier. Złudzenie i nic więcej! Na tej boskiej szyi jest tylko szary mech, cieńszy, niż jedwab, a wijący się jak wełna. Narzeczona pana Rogowicza nie zwróciła, zdawało mi się, wcale uwagi na ten epizod mazurowy. Dopiero w następnej figurze,

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Max Kretzer: „Meister Timpe“. Berlin, W. S. Fischer.

„Giń ty, bylebym ja żył!“ Tak brzmi wielkie hasło bojowe naszego wieku. Wyzyskiwacze i wyzyskiwani — oto imię dwóch olbrzymich hufców, dzień w dzień do bitwy gotowych, a uderzających na siebie by stoczyć straszną walkę rozpaczy. W boju tym kapitał jest prochem — zwycięstwo po stronie tego, kto go ma więcej. Wodzowie owych hufców zwą się: ręka i maszyna... Siła pary prowadzi walkę zniszczenia przeciwko sile ludzkiej...

Tę właśnie walkę z wielką prawdziwością, a przeto i z głębokim tragizmem przedstawia autor niemiecki w powieści „społecznej“: *Meister Timpe.* Jan Timpe, jako właściciel kilku tysięcy uciułanego grosza, małego domku z ogrodem we wschodnim zakątku Berlina i warsztatu tokarskiego, przy którym zatrudnia ośmiu czeladników, jest typem średnio-zamożnego rękodzielnika z zarania ery burżuazyjnej. Domek i warsztat zawdzięcza ojcu, który niegdyś rzemiosło po swoim znów rodzicu objąwszy, trudnił się niem uczciwie przez długie lata, — póty, póki mu ślepota rozstać się z dłutem nie kazała. Jan Timpe ma syna — Franciszka, dla którego o lepszej, łatwiejszej i zaszczytniejszej marzy przyszłości. Jedynaka swego kształci, chcąc zaś uczynić zeń kupca, oddaje na praktykę do bogatego kapitalisty-przedsiębiorcy Urbana. — Dziadek, ojciec i syn są uosobieniem trzech pokoleń. Naiwny, osiemdziesięcioletni starzec jest, według słów autora, wyrazem dawno przebrzmiałej epoki, owego czasu po wojnach emancypacyjnych, kiedy to rzemiosło i narodowość niemiecka jęły odzyskiwać utraconą na czas jakiś potęgę. Żyje wciąż wspomnieniem wielkich chwil, które po latach trwogi i upokorzeń przyniosły drobno-mieszczaństwu niemieckiemu miłość dla ludzkiego acz skromnego bytu. Jan Timpe jest wcieleniem tego żywiołu społecznego, który mieszczaninowi, jako najdogodniejszej podporze państwa, wyznacza miejsce tuż po za tronem, domagając się jednocześnie zabezpieczenia bytu rzemieślniczego. Syn jego wreszcie — to wyznawca zasad ery kapitalistycznej, typ pokolenia, dążącego jedynie do łatwego zbijania kiesy, uosobienie wielkiego kłamstwa naszej epoki, przekładającej rozwój głowy nad rozwój serca, pozory nad wartość istotną. — Domek Jana Timpego, z trzech stron otoczony murem, jest nikłą niby oficyną sąsiedniej kamienicy, należącej do bogatej wdowy, pani Kirchberg. Między oficyną a frontem dzieci, t. j. córki wdowy i synek majstra wytworzyły pewną, z początku dość nawet serdeczną łączność. Muru podówczaj jeszcze nie było: stanął dopiero wtedy, kiedy przyłapano malca na samowolnem przekradaniu się do wielkiego ogrodu i na niedozwolonem plądrowaniu cudzych drzew owocowych. Mimo to front pozostał ulubionym przedmiotem ciekawości oficyny. To też przyniesiona przez Franciszka wiadomość o ślubie wdowy z szefem jego silnie wstrząsnęła majstrem i czeladzią. Franciszek oświadcza nadto, że na placu przez dom i ogród zajmowanym Urban wzniesie wielką fabrykę tokarską, zaopatrzoną w najprzedniejsze ulepszenia nowoczesne. Już nazajutrz ze strony frontu rozlegają się uderzenia młotów i łoskot spadających kamieni. Urban przystępuje istotnie do urzeczywistnienia planu, zachęca nawet majstra do odprzedania mu domku i gruntu za cenę potrójnie wartość ich przewyższającą. Timpe odmawia, by jednak z danego upokorzenia wynieść pewną dla siebie korzyść, kapitalista prosi majstra o pokazanie mu warsztatu. Zręcznym fortelem skłania Timpego do przedłożenia mu sławnych jego modeli — w tym celu, aby zyskać w nich na przyszłość jedną broń więcej w podjazdowej walce przeciwko rękodzielnikowi. Bronią taką staje się nadto w rękach Urbana jedynak Timpego, w którym instynktownie odgaduje pokrewną sobie naturę. Wprowadza tego Franciszka, prawie jako przyjaciela do domu swego, a zapominając jakby zupełnie o dzielącej ich różnicy wieku i stanowiska społecznego, składa chłopcu niejednokrotnie dowody uznania, czyni go powiernikiem najskrytszych swoich planów, zaznacza możliwość przyjęcia go kiedyś jako wspólnika do firmy i oddania mu ręki pasierbicy, której miłość blichtrem uczucia syn majstra zyskać potrafił. Ambitny kantorowicz pojmuje, że od tego, czy będzie powolnem narzędziem w rękach Urbana, czy też nie, — zależy zrobienie lub niezrobienie „karyery“. Nie kochając nikogo i niczego, prócz siebie i marzenia o blasku materyalnym, bez namysłu przyjmuje narzuconą przez Urbana dewizę, która brzmi: „najpierw — mój szef, potem zaś — ja.“ Obiecuje dostarczyć kapitaliście gorąco przez tegoż pożądanych modeli ojca swego, dwukrotnie modele wykrada, wtargając zaś nocą do cichego, ojcowskiego domu, sprowadza nań przestrach, który dziadka Timpego zabija. Majster ani na chwilę nie wątpi, że sprawcą kradzieży jest Franciszek. Mimo to, dawnej miłości dla jedynaka z serca wydrzeć nie umie, dławiący ból w sobie zamyka, od ludzi się usuwa i straszną tajemnicę na dnie duszy kryje.

Tymczasem fabryka Urbana rozwija się znakomicie. Kapitalista wszelkiemi środkami zdąża do zdobycia dla niej monopolu na wszystkie zapotrzebowania w dziedzinę tokarstwa wchodzące. Huk maszyn parowych w wielkiej fabryce Urbana staje się niby echami stłumionego jęku tysiąca śmiertelnie ugodzonych ludzi. Konkurencyą odczuwają przedewszystkiem drobni rękodzielnicy. Timpe dwóch czeladników odprawia, ceny zniża, a jednak ratunku dla siebie nie widzi. Zbadawszy, że tajemnica Urbena polega na wytwarzaniu tanich, na oko ładnych, ale złych wyrobów, usiłuje zastosować tę samą metodę we własnym warsztacie. Gdy Urban ceny więcej jeszcze zniża, Timpe rezygnuje z wszelkiego zarobku, byleby pracy nie zawiesić. I to nie pomaga. Po niejakimś czasie w warsztacie zostaje jeden już tylko, najwierniejszy czeladnik, — Beyer. Majster narusza coraz więcej mały swój kapitalik, jak prosty wyrobnik przy tokarni pracuje i — stacza się coraz szybciej w przepaść przez Urbana i własnego syna ukopaną. Śmierć żony; konieczność spłacenia długu hipotecznego; wreszcie podstępna taktyka Urbana, który podsunąwszy Timpemu przez trzecią osobę pożyczkę, wypowiada mu ją w chwili najkrytyczniejszej i tem samem chałupę majstra na sprzedaż publiczną wystawia — i wszystko to wprowadza Timpego w stan takiej rozpaczy, że zabarykadowawszy się w piwnicy, w dzień licytacyi, z przestrachu, rozżalenia i wycieńczenia umiera.

Oto treść powieści w głównych jej zarysach. Zwykłe zwycięstwo siły nad bezsilnością, podstępu — nad prawdą, zła nad dobrem: agonja rzemiosła wobec wszechwładzy maszyny, nędza warsztatów i ich właścicieli wobec bogactwa fabryk i pracobiorców, którzy jakby dla ironii zwą się *chlebodawcami.* — „My kupcy, jesteśmy jedynymi wyswobodzicielami zbiedzonej ludzkości. Za pieniądze nasze stawiamy pałace, miasta, nędzy dajemy chleb, wytwarzamy dobrobyt mieszczan, światem rządzimy. Udzielając we fabrykach zajęcie tysiącom, tysiące te przed śmiercią głodową ocalamy. Nie jednostki, ale ludzkość cała wdzięczną nam być winna.“ Oczywiście, że wzniosły cel podobnej działalności wszelkie uświęca środki. Sumienie „działaczy“ społecznych w rodzaju Urbana, głuchem będzie na skargi mnożącego się wskutek ich

---

gdy byliśmy przez kilka chwil odosobnieni w kącie pokoju, powiedziała, spuszczając oczy wstydliwie:

— Szczęście, że nikt nie zauważył...

— Czego? czego? panno Maryo!

— No no!

Zapewne wino, wypite przy kolacyi, wybełkotało ze mnie takie paskudne słowa:

— Kto raz w życiu ma taką chwilę...

— Czy zechce pan udzielać mi jakichś tam lekcyi? — zapytała, patrząc na mnie z pod rzęs.

— Pod jednym warunkiem.

— A mianowicie?

— A mianowicie, że podczas lekcyj będzie pani zawsze miała na sobie tę suknię.

— Dla czegóż tę koniecznie?

— Ach, pani! To tak łatwo zrozumieć, a tak trudno wyrazić *nie narzeczoną* mową...

Pociągnął nas ogólny mazurek. Gdyśmy się znowu zatrzymali, rzekła szeptem zupełnie poufałym:

— Mam do powiedzenia panu coś ciekawego, ale nie tutaj... Po mazurze będzie walc. Niech pan przetańczy z kimkolwiek, a później niech pan pójdzie ostrożnie przez pokój, gdzie grają w karty, niech pan przejdzie przez następny gabinet ojca i otworzy drzwi. Tam jest korytarzyk, w którym leżą futra pań...

Pomyśl tylko, medyku! Karty, gabinet, futra i w dodatku korytarzyk! Czułem, że dzieje się ze mną coś niedorzecznego, ale ani myślałem stawiać oporu biegowi wypadków. Mazur się skończył i po chwilowej przerwie zagrano walca. Przypomniałem sobie pannę Jadwigę i spostrzegłem ją, siedzącą obok jakiejś otyłej damy. Zamaszyście ruszyłem w tamtę stronę, skłoniłem się może odrobinkę za nisko i poprosiłem smutną panienkę do walca. Podniosła się i obiegliśmy salę dwa, czy trzy razy.

Zaledwie ją posadziłem na krzesło, Izmaiłow, który oddawna stał we drzwiach, jakby na straży i przyglądał się nam z daleka, zbliżył się do mnie i, położywszy mi rękę na ramieniu, rzekł głośno:

— Mości panie ochotniku! Co ty tu robisz na balu?

— Tańczę... — odrzekłem.

— Ja nie zgadzam się na to, abyś był na balu razem ze mną. Marsz do koszar!

Wspomniałem mu o pozwoleniu Czeremisowa i pułkownika, ale nawet słuchać nie chciał.

— Marsz! — powtórzył, rozciągając samogłoskę tak nieskończenie, jakby w owej chwili dowodził całą rotą.

Skłoniłem mu się i wyszedłem. Całą tę scenę słyszał, pospołu z innemi osobami, Rogowicz. Pobiegł natychmiast do pana Kłuckiego, a ten wniósł *rekurs* do pułkownika. Pizipios wysłuchał uważnie całej sprawy i, nie przerywając gry, bąknął jakiś wyraz, którego nie dosłyszałem. Miny gospodarzy były rzadkie i dosyć śmieszne.... Pożegnawszy ich uprzejmie, wykonałem z udaną fantazyą forsowy marsz do przedpokoju. Wychodząc na ganek, usłyszałem za sobą kaszel i śmiech Wilkina.

— Dobranoc kochanemu panu... — mówił drwiącym tonem. — Spokojnej nocy! Uważaj pan na mostek przed koszarami. Jeden z dylów jest zgniły i może się pod panem załamać. Uważaj dobrze, kochany panie...

Posłałem mu piorun wejrzenia i wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami.

Tak się zakończył pierwszy mój występ w salonach miasta Wieprzowody.

(Ciąg dalszy nastąpi).

akcyi proletaryatu, ale tę skargę, tę podsłyszą ci, którzy czeladnika Beyera myśleć, czuć i postępować uczciwie uczyli. Widząc straszną walkę Timpego, Beyer sam o trzy czwarte zniża pobieraną przez siebie dotychczas płacę, a tylko, licząc się z dumą majstra, nie rezygnuje z niej zupełnie: wypędzany niejednokrotnie z warsztatu, w którym Timpe jednego czeladnika wobec siedmiu niezajętych tokarń znieść nie może, wraca jednak i losem majstra zajmować się nie przestaje. W zamian prosi Timpego jedynie o zaciągnięcie się pod sztandar, który kiedyś powiewać będzie na czele zwycięskiego pochodu mas poprzez zgliszcza dzisiejszego wyzysku. Majster, niemiec, fanatycznie przywiązany do dynastyi, ślepo wierzący w słuszność jej postanowień, samą myśl o przewrocie społecznym uważa za zbrodnię. Kiedy jednak samotność, głucha rozpacz bezsiły, krzywdy bez winy doznane, zaczynają go dławić prawie nadmiarem goryczy, odkrywa na zgromadzeniu, dokąd wprowadza go Beyer, rany swoje, wylewa całą nienawiść dla „szwindlu" i kapitału i z odwagą człowieka, który prócz życia nic już do stracenia nie ma, prześladowcom rzuca w twarz straszne wyzwanie. Lecz jest to tylko jedna chwila rozpaczy. Uczucia z mlekiem wyssane biorą górę i na ścianie piwnicy w której Timpe spędza ostatnie godziny, Beyer czyta drżącą ręką wypisane słowa: „niech żyje cesarz!..."

Jednolitość charakterów, mistrzowska plastyka rysunku — oto zewnętrzne zalety powieści Kretzera. Timpe, żona jego, jako typ drobnomieszczańskiej niemki — żony, matki, majstrowej: stary ojciec, jako żywa tradycya, „dobrych, dawnych czasów"; patryarchalny stosunek majstra do czeladzi —: wszystko to oddane jest w barwach tak jednolitych, harmonijnych, że mamy przed sobą wierny obraz epoki, kiedy oszczędność i uczciwa praca rąk pozwalały zapominać ludziom o krwawych zapasach walki o byt. Lecz za pierwszem uderzeniem dzwonu fabrycznego czar sielanki pryska. Dzwon ten jęczy pod ręką konieczności wiekowej, — pod ręką Urbanów i młodych Timpów, których coraz gwałtowniej ogarnia i trawi gorączka złota. Wreszcie, jako wytwór innej fali konieczności wieków — Beyer. Ten skromny, cichy czeladnik tokarski, który kocha ideę i w jej imię żyje, jest w smutnej, jak byt ludzki, powieści Kretzera jedynym może jaśniejszym błyskiem, a może symbolem przyszłej wiosny życia społecznego, wiosny, którą snać autor niemiecki gorąco miłuje.

Malwina Posner-Garfein

Szkoła i wychowanie.

Wychowanie narodowe.

II.

(Dokończenie).

Nie mówiąc już o edukacyi mężczyzn — w tym kierunku zupełnie osobistej inicyatywie zostawionej — żadna inna tyle nie przestawia braków i wad, co edukacya klasztorna. — Moda powierzania córek opiece zakonnic rozpowszechniona głównie w zamożnych rodzinach jest z niejednego względu naganną. — Tysiączne przykłady z życia wzięte świadczą przeciw niej — tu zaś zwrócę tylko uwagę czytelników na kosmopolityczny charakter klasztornego wykształcenia. — Tłomaczyć się on może niejedną przyczyną. — Po pierwsze system wychowawczy w klasztorach praktykowany jest ze zrozumiałych bardzo powodów — systemem zacofanym. Prądy naukowe — odkrycia pedagogiczne z trudnością przenikają po za mury zakonne i często spotykamy się wśród nich z metodami i poglądami, które cały świat porzucił już przed pół wiekiem. Nic dziwnego też, że nauka, którą dziś panienki „dystyngowanych" rodzin w klasztorach odbierają, ma wiele podobieństwa z tą, którą zaspakajano skromniutkie potrzeby umysłowe naszych prababek.

Ogólny program przedstawia się mniej więcej tak: na pierwszym planie naturalnie religia, historya Kościoła, liturgia, żywoty świętych — potem talenta — (w stopniu określanym wyrażeniem francuzkiem jako „talents d'agrément"), kosztowne i niepraktyczne, a mozolne robótki (hafty kościelne, wyszywania paciorkami na jedwabiu, atłasie, aksamicie), dalej zaś języki, języki — i jeszcze raz języki — tj. — naturalnie języki obce, boć swoim i tak każda mówi bez nauki. — Dodatkowo uczą historyi i literatury ku ozdobie umysłu, a nauk przyrodniczych i arytmetyki — z konieczności — w jaknajskromniejszych dozach t. j., aby zbyć.

Jedną więc z przyczyn niedostatecznego narodowego wychowania jest koserwatyzm trzymający się zasad z przed reformy pani Tańskiej, drugą jest ogólny kosmopolityczny kierunek klasztorów. Zakonnice są to istoty od świata wogóle, a więc i od ziemi rodzinnej, od krajowych stosunków, od życia narodowego oderwane. Klasztor jest ich rodzinnym domem — ojczyzną, światem całym. Czy ten klasztor znajduje się we Lwowie, Pradze czy w Wersalu — rzecz to dla nich obojętna, gdyż między niemi, a Lwowem, Pragą i Wersalem i tak komunikacyą przerwano. — Gdyby ich schronienie z Europy przeniesiono do Zanzibaru lub Honolulu, tylko rónica temperatury i roślinność klasztornego ogródka kazałyby im się domyślać, że miejsce pobytu zmieniły. — Ich narodowy indyferentyzm tak ściśle wynika z anormalnych warunków życia, że zupełnie nie można im z niego robić zarzutu. — Nie twierdzę, aby niemożliwymi były wyjątki; zakonnice patryotki tu i owdzie spotkać można, ponieważ jednak uczucie patryotyczne w ich życiu niczem podsycanem i na nic potrzebnem nie jest, a zatem z natury rzeczy zanika i zanikać musi.

Jak w ogóle ludzie od świata oderwani nie mogą i nie umieją kształcić młodzieży do życia w świecie — tak i ludzie oderwani od ojczyzny nie mogą ojczyznie pożytecznych kształcić obywateli.

Wniosek ten, do którego dojść można przez rozumowanie, stwierdziłam licznemi przykładami. O ile znane mi uczennice klasztorne płynnie i biegle po francuzku i po angielsku paplać umiały (w ortografiii osiągały tylko względną doskonałość) o tyle w przedmiotach ojczystych historyi, literaturze, języku — skandalicznie bywały zaniedbane. — Naturalnie między jedną a drugą pensyą klasztorną dość znaczne zdarzają się różnice — wiem jednak, że na pensyi pp. Serćanek np. znajomość dzieł Mickiewicza była tak słabo rozpowszechnioną, iż dopiero panny w najwyższej klasie czytały p. Tadeusza i to tylko w wyjątkach. — Naturalnie ani Słowacki, ani Krasiński nie cieszyli się wyższem uznaniem a literaturę współczesną z epoki pomickiewiczowskiej przemilczano konsekwentnie. — Istnieje nawet na tym punkcie pomięszanie pojęć — które zresztą u istot żyjących w anormalnych warunkach nawet zadziwiać nie może.

W pewnym zagranicznym klasztorze znajdowała się znaczna ilość polskich uczennic i kilka zakonnic Polek. — Ze względu na to postanowiono panienkom pozwolić na rozmowę polską w czasie rekreacyi, o ile dozór pełniła zakonnica rodaczka. Gdy jednak chciały z tego pozwolenia korzystać, siostra zrobiła im uwagę, że wprawdzie mówiąc po polsku nie przekraczają reguły, jednakże dla miłości Chrystusa powinny się zrzec przysługującego im przywileju. — Zdarzenie to zupełnie autentyczne.

Ta widoczna, a w naszem położeniu bardzo ważna wada klasztornej edukacyi — wystarczyć powinna rodzicom, aby ich od umieszczania córek na zakonnych pensyach odstręczyć. — Jak niejasno jednak zdają sobie oni sprawę ze swych wychowawczych i obywatelskich obowiązkich mianowicie zaś w na-

AUGUST STRINDBERG.

DZIEJE MAŁŻEŃSKIE.

(Tłum. **Empa**.)

I.

Byleby tylko mieć żonę.

Nie bez powodu można powiedzieć, że rzucono mu ją w objęcia. Była ona z pięciu sióstr najstarszą i miała nadto trzech braci. Pokój, w którym mieszkały dziewczęta, był dosyć mały, a drobne kłótnie w rodzinie zegarmistrza na porządku dziennym.

On grał drugie skrzypce w królewskiej kapeli nadwornej i mianował się „królewskim nadwornym skrzypkiem", był zatem, jak ludzie mówią, dobrą partyą. Na jakiejś wycieczce zawarł znajomość z młodą dziewczyną, i wkrótce potem oświadczył się jej rodzicom. Oboje musieli naturalnie zająć miejsce na kanapie, siostry trącały się łokciami, a bracia mówili zupełnie otwarcie o „młodej parze". Ojciec i matka byli uprzedzająco grzeczni, i tak — przyrzekli mu ją.

Codziennie, po obiedzie, punktualnie o godzinie piątej przychodził z wizytą, o wpół do siódmej odchodził znowu, bo o siódmej musiał być w teatrze. Cały czas narzeczeństwa był dla niego piekłem, ale miał nadzieję, że będzie lepiej, skoro raz już będzie po ślubie. Stary zegarmistrz, który też chciał zięcia użyć, był lubownikiem gry w szachy. „Znalazłem teraz partnera", mówił do siebie, i biedny narzeczony chcąc nie chcąc, musiał z nim grać codziennie. Narzeczona siadała zwykle obok niego, i odchodziła tylko wtenczas, gdy kłótnie i hałasy grających stawały się zbyt głośnemi.

W niedzielę bywał zawsze na obiedzie u przyszłych teściów. Wtedy musiał opowiadać ploteczki teatralne i powtarzać, co ten, lub ów aktor mówił o tej, lub owej aktorce. Stary wspominał też dawne czasy, kiedy Torsslow i Högquist jeszcze żyli. Po obiedzie, podczas kiedy stary drzemkę odprawiał, mogli narzeczeni pozostać na chwilę sami, ale i to było niepodobnem! Dziewczęta były w bawialnym pokoju, synowie zajmowali kanapę, a ojciec drzemał w sypialni. Młoda para siedziała w jadalni, każde z nich na trzcinowem krześle, podczas kiedy matka, na wpół śpiąca, kołysała się na biegunowym fotelu.

Narzeczony, przywiązany do swoich licznych nawyczków, bywał po obiedzie zwykle bardzo zmęczonym i byłby się chętnie trochę zdrzemnął, ale musiał siedzieć jak drąg obok narzeczonej — na trzcinowym krześle — i obejmować ramieniem jej kibić. Jeżeli się chcieli pocałować, to zwykle stał za drzwiami jeden z braci i śmiał się, albo też ukazywała się jedna z sióstr, i kaszlała znacząco.

A co za awantury odbywały się z wolnemi biletami do teatru. Prawdziwe utrapienie! Codziennie musiał prosić o kilka w kancelaryi, aby zadowolić wymagania rodziny swej narzeczonej. Nadto musiał raz po raz wsunąć ukradkiem chłopaków za kulisy, w końcu byli oni jednak tak bezczelni, że sami się wkradali, a najstarszego z nich wyrzucono pewnego pięknego wieczoru, posunął się bowiem wobec jednej z baletniczek do tego, czego jakiś zagraniczny dyplomata sobie w pauzach pozwalał.

W sobotę bywał często wolnym, wtedy robił z narzeczoną wycieczki do Zwierzyńca. Mama musiała być naturalnie obecną, a rzadko kiedy obyło się bez dwóch sióstr.

„Ubierzcie się", mówiła narzeczona, „Adolf niema nic przeciwko temu, jeżeli z nami pójdziecie!"

Jakżeby Adolf mógł mieć co przeciwko temu!

Ale gdy przyszło do płacenia za jadło i napoje w Alhambrze, wtedy musiał głębiej sięgać w portmonetkę, niż gdyby był sam przy-

szej dzielnicy, świadczy rozpowszechniony zwyczaj pomijania pensyi miejscowych, a powierzania panienek opiece Urszulanek wrocławskich lub pragskich Sercanek.

Jakie korzyści myślą przez to osięgnąć jest mi zupełnie niezrozumiałem, gdyż znając z bliska wiele wychowanek klasztornych — zawsze stwierdzałam fakt, iż stanowiły one najniewdzięczniejszy do dalszej edukacyi materyał.

Do stopniowego rozwoju umysłowego dzieci winien się stosować i system narodowego wykształcenia. W najpierwszych latach dzieciństwa jak już mówiliśmy, gra w ich życiu główną rolę uczucie i wyobraźnia, dla tego też tę epokę spożytkować należy do rozbudzenia w nich czci dla wspomnień narodowych i entuzyazmu dla narodowych ideałów. Gdy jednak z biegiem czasu rozwinie się w nich władza myślenia, sądzenia, porównywania, — zdolność do wysuwania logicznych wniosków, wychowawcy powinni ją wyzyskać dla pogłębienia znajomości spraw ojczystych i wykształcenia samodzielnego o nich sądu. —

Błądzą więc ci, którzy wykładając literaturę i historyą własnego kraju przekręcają prawdę dziejową chcąc dodać blasku zamierzchłej przeszłości. — Nawet w najlepszym celu pracy wychowawczej nie należy opierać na fałszu. Umysł młodzieńczy rychło otrząsa się z narzuconych sobie dogmatycznie poglądów — a tworząc fałszywe bóstwa — w które mu wierzyć kazano, nieraz niszczy i te, w których drga jeszcze życie i blask prawdy nieskalanej. Miłość ojczyzny powinna być silniejszą niż miłość do złudzeń ponętnych, powinna wytrzymać próbę rozumowego krytycyzmu i tak głęboko tkwić w duszy młodego pokolenia, tak ścisłą solidarnością związać je z dawniejszemi, aby one nietylko we wspomnieniach minionej wielkości chluby dla siebie szukały, lecz odważnie za winy ojców odpowiedzialność przyjęły i ze skruchą czyniły pokutę. — Nie dość, że młode serca biją zapałem na wspomnienie zwycięztw, że czcią się przejmują na wzmiankę o czynach bohaterskich — trzeba jeszcze, aby je ból szarpał, aby je wstyd kruszył przy rozważaniu czarnych kart naszych dziejów, aby łzami wzbierały rozważając nieszczęścia ojczyzny. — Ten gorzki ból nie wypleni patryotyzmu z duszy, w której on zakorzenił się głęboko — lecz odwracając myśl od przeszłości z win dawnych — wskazówki do przyszłych czerpie cnót i poświęceń. „Żal jest wiosną cnót“, mówi wschodni mędrzec. —

Jak w odniesieniu do przeszłości tak i przy ocenianiu teraźniejszości zaślepienie do własnego narodu zgubne tylko mieć może skutki. Idealizowanie błędów dawnych czy współczesnych, nie jest bynajmniej warunkiem pomyślnej dla kraju pracy i wprost zaporą nieraz się staje do wyrobienia cennych cnót obywatelskich. Dobry patryota nie potrzebuje wierzyć ani w to, że Polska jest Chrystusem narodów niewinnie umęczonym za grzechy Europy, ani też w to, że Polacy najdoskonlszą rasą ludzi na ziemi — i wszystkim za wzór stać mogą. — Nie wymaga się też, aby myślał, że cała godna poznania część powierzchni ziemi między Karpatami a Bałtykiem się mieści, że ludzie obcych narodowości, to istoty niższego rzędu do godności człowieka zaledwie dorosłe. Tego rodzaju patryotyzm na nic nie przyda się społeczeństwu i choćby dla tego jest niepożądanym, że tylko z ciasnym umysłem iść może w parze. — Kraj na tem nic nie zyska, jeśli w nim ograniczone głowy gospodarować będą, przeciwnie straci widocznie i dla tego też, choć wychowanie nosić ma wybitnie narodowe piętno, jednostronnem być nie powinno — nawet w interesie narodowości. —

Z tego też jesze powodu dla człowieka, który własny kraj poznał, przeszłość jego rozumie, teraźniejsze potrzeby, dążenia i ideały odczuwa, znajomość krajów, literatur, zwyczajów i narodów obcych bardzo ważną korzyść przedstawia. — Nie dla wydawania polskich groszy w zagranicznych stolicach, nie dla imponowania Francuzom i Niemcom szykiem i polorem, lecz dla rozszerzenia swych pojęć — dla trzeźwiejszego poglądu na własne społeczeństwo przez porównanie go z innemi — młodzież nasza za granicę wyjeżdżać powinna. Wycieczki te dla poważnych przedsiębrane celów należałoby w ten sposób urządzać, aby one ile możności jak najmniej zasobów eksportowały z kraju, a jak najwięcej cennych nabytków importowały z obczyzny.

Przebywając wśród obcych, podziwiając wielkość europejskich stolic cywilizacyi nowożytnej, Polacy powinni mieć zawsze w pamięci ziemię mogił i krzyżów, w których stała ich kolebka, krainę bardzo smutną, bardzo uciśnioną, krwią i łzami płynącą, lecz przeznaczoną dla nich na pole pracy i zasług. Niechaj między obcymi zbierają przykłady i wzory, niech się kształcą, pracują i myślą — aby owoce swych badań i poszukiwań przenieść na grunt rodziny i własnym trudem, w pocie czoła uprawiać go pod zasiew przyszłości.

Izabella Moszczeńska.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA PARYZKA.

27 sierpnia.

(Francya a Polska. Słówko o anarchii.)

Wracając przed dwoma dniami z wycieczki o dwie godziny drogi od Paryża, zaskoczony zostałem w lesie przez silną burzę połączoną z ulewnym deszczem. Zdenerwowany ciągłym łoskotem grzmotu, oślepiony błyskawicami, chłostany deszczem, biegłem, ślizgając się po wilgotnym mchu, szukając schronienia jakiego. — Biegłem na oślep nieomal, nie znając okolicy. Dobra moja gwiazda zawiodła mnie do parkiem starym otoczonego, z przeszłego wieku datującego „chateau“ — należącego, jak się potem dowiedziałem do pozasłużbowego generała R... Właściciel posiadłości stał w oknie przypatrując się burzy. Ujrzał mnie, gdy wichrem pędzony biegłem przez dziedziniec zaszargany i zmokły. Wyszedł pospiesznie przed dom, i, uśmiechając się trochę z mego smutnego „wyglądu“ z największą uprzejmością w gościnę zaprosił. Osuszony, grzebieniami i szczotkami do jakiego takiego porządku doprowadzony — gdy burza szalała dalej, a godzina 7 się zbliżyła, zmuszony byłem przyjąć zaproszenie na obiad. W czasie obiadu gospodarz dowiedziawszy się o mojej narodowości, zaczął wypytywać o kraj mój. Z wachania i względności pytań, domyśliłem się, że położenie nasze znane mu tylko niejasno, albo raczej wcale nieznane. Objaśniłem go więc podług żądania, zwracając uwagę, z pewną ironią, że Francya, wyciągająca miłosne ramiona ku Rosyi, stara się teraz ze wszystkich sił zapomnieć, że wogóle egzystuje jeszcze na kuli ziemskiej kraj, tak dobrze jej dawniej znany, znaczący przez szereg wieków historyą swoją złotemi głoskami w księdze dziejów, a dziś rozszarpany, cierpiący, biedny, choć niepokonany. Mówiłem długo i gorzko, krzywdy nasze wskazując i rany nasze obnażając — i piętnując w gwałtownych słowach egoizm grzeszny narodów, patrzących ze spokojem na to, co się z nami dzieje. Stary generał słuchał mnie ciekawie, nie spuszczając ze mnie swych siwych, głęboko osadzonych oczów. — Zatrzymałem się nagle, skrępowany myślą, która mi błyskawicą przez głowę przeleciała: „Ładnie wywdzięczasz się za gościnność tak uprzejmą! miotając się

---

szedł z narzeczoną. Zdarzało się też czasem, że mama była zmęczona. Jedyną radą był na to powóz, i Adolf otrzymywał honorowe miejsce obok dorożkarza na koźle. Przyjemnie to, za swoje pieniądze oddychać wyziewami wódki dorożkarza, i siedzieć ściśniętym jak korkociąg. Czasami przychodzili też bracia do Alhambry, aby odprowadzać siostry do domu. Do tego mieli oni ogromny zmysł, a wysoki Karol prosił wtedy zawsze przyszłego szwagra, aby za niego wyłożył pieniądze, zadarmo bowiem nie chce tu ani jeść, ani pić. Młodszy brat, Eryk, prosił go też niekiedy o pożyczenie „piątaka“.

Ponieważ nigdy z narzeczoną nie mógł być w cztery oczy, przeto zawierał z nią małżeństwo, nie znając jej nawet dobrze. Wiedział tylko tyle, że ją kocha, i to mu ostatecznie wystarczało. Ale on spodziewał się wiele od przyszłości i małżeństwa, które miało mu oddać ukochaną na nieograniczoną własność.

I gdy w niedzielę otrzymał poświadczenie ślubu, i gdy zjadł ostatni kawalerski obiad, to życie wydawało mu się tak jasnem i miłem, a ciche, ładne mieszkanie, w którem z ukochaną teraz miał sam zawsze być, tak mu się uśmiechało, że już w myśli widział się siedzącym obok żony na kanapie, bez obecności chichocących się braci i złośliwych sióstr. I gdy przejeżdżał małym parowcem od „mostu okrętów“ do „nowego mostu“, jaśniało styczniowe słońce tak czerwono na niebie i promienie jego tworzyły prawdziwą ulicę na drodze wodnej, wyrąbanej w lodzie, a drzewa w Zwierzyńcu były zielono oświetlone — i stały tam, jak straż honorowa. Rzadko kiedy widział takie oświetlenie powietrza, wody i ziemi. Gdy przybył do domu, zdjął w sypialnym, małym pokoiku na poddaszu swoje codzienne ubranie, aby przywdziać frak i biały krawat. Potem usunął wszystko nieprzyjemne i brzydkie, co zwykle towarzyszy życiu kawalerskiemu i kupowanym względom kobiecym. Ani jeden cień nie miał zatruć przyszłości! Ostatnie resztki zapakował wraz ze starem ubraniem do podróżnej torby, która miała być przeniesioną do nowego mieszkania, gdzie już zamierzał przepędzić noc dzisiejszą. Nawet ze starą kanapą pożegnał się. Była ona trochę brudna, na pokryciu widać było jeszcze ślady bucików .... „I swoją starą gospodynię domu pożegnał — miał nadzieję, że nie będzie za nią tęsknił, ale ona żałowała szczerze swego lokatora. Płakała i życzyła mu błogosławieństwa boskiego, szczęścia i spokoju, jemu i jego nowemu domowi.

Wieczorem wyprawiano uroczystość weselną u teściów. Po całym gradzie nieprzyzwoitości ze strony jego szwagrów, którzy go w plecy trącali i Ravaillac'iem nazywali, jako i po obfitym potoku łez matki, która uważała go za rozbójnika i napominała, aby się tylko dobrze z jej najmilszą córką obchodził, zabrał swoją żonę do czekającego na nich powozu i odjechali. Bracia chcieli im towarzyszyć, ale Adolf zatrzasnął im przed nosem drzwiczki powozu i kazał im iść do djabła.

Nareszcie byli sami. Ale teraz, widząc go tak pewnym zwycięztwa, miała ona strach. Takim nie widziała go nigdy dotychczas.

— Czy to coś tak bardzo dziwnego? — zapytał. A ona płakała i odtrącała jego czułe pieszczoty. To go rozgniewało.

Nazajutrz rano o siódmej miał już lekcyę do udzielenia. Młode małżeństwo musiało być rozsądnem, bo dochody Adolfa były szczupłe tylko, a on pragnął zarobić teraz to znowu, co stracił w czasie swego narzeczeństwa. O dziewiątej przyszedł na śniadanie, potem udał się na próbę: Po obiedzie musiał trochę odpocząć, o czwartej bowiem miał znowu lekcyę w domu. Spanie po obiedzie było, podług zdania młodej kobiety, czemś brutalnem. Siedziała sama w domu i czekała na niego, a gdy nareszcie przyszedł, chce spać! Ale on musi odpocząć, bo inaczej nie byłby zdolny do udzielenia lekcyi o piątej! On musi odpocząć! Z uderzeniem godziny czwartej przyszedł uczeń, i znowu pożegnał swoją młodą żonę na krótki czas.

— Byłbyś mógł odstalować swego ucznia!

— To niepodobna, trzeba być surowym względem samego siebie.

jak szalony na Francyą, w domu jednego z jej dzieci.“ Spuściłem oczy zmięszany, gryząc wargi. Gospodarz mój uśmiechnął się inteligentnym, dobrotliwym uśmiechem. Zacząłem tłomaczyć moją gwałtowność. „Nie dziw się pan, jestem trochą podrażniony. Dziś znowu, nie wiem po raz już który, odkąd Paryż zamieszkuję, rozmawiając w wagonie z jednym z moich towarzyszów podróży, zostałem przyjęty na wyjaśnienie moje, że jestem polakiem, wykrzyknikiem podziwu i niedowierzania — „Comment! Vous êtes Polonais? Mais il n'y a plus de Pologne. Vous êtes Allemand ou Russe. C'est beau être Russe!“ Człowiek na takie idyotyzmy ramionami wzrusza z politowaniem, ale mimowoli, bądź co bądź żółć się burzy. A co najciekawsze, że ile razy nie zrażony takiem pomnikowem głupstwem, porównywałem o ile się porównać dało losy naszego np. Księstwa Poznańskiego z losami Alzacyi i Lotaryngii, zaskoczony tak Francuz, zaczął krzyczeć jak paw, piorunując na Niemców i wielkim głosem żądając „Revanche“ ale — na tem koniec. Zrozumieć nie mógł, czy nie chciał analogii położenia zabranej cząstki jego kraju z naszym rozdartym krajem.“

„Wszystko to — odparł gospodarz — to polityka w wyższych rządzących warstwach, w kołach zaś szerokich, w masie narodu poprostu ignorancya. Naród nasz ze wszystkich stron mniej lub więcej jawnymi nieprzyjaciółmi otoczony, musi szukać oparcia w Rosyi, z którą sympatyzować zresztą nie może. Jakże pan chcesz, aby nasza Francya, kraj wolności i oświaty, sympatyzować miała z analfabetyczną, w pętach despotyzmu skutą Rosyą. Ale polityka! polityka!“ I głową kiwał zadumany, podczas gdy ja w duszy pomyślałem, że tej sławnej francuzkiej „*oświacie*“ nie trzeba zbyt blisko w oczy zaglądać, jeżeli się chce o niej zachować jakiekolwiek illuzye. Z wyjątkiem naturalnie literackiego świata — a jeszcze i tu dużo daloby się powiedzieć — Francuzi są zresztą wszystkiego co Francyi nie tyczy, *d'une ignorance crasse*. Próbują się n. p. entuzyazmować Dostojewskim, Tołstojem, Strindbergiem, Ibsenem, Hauptmannem, nie mając żadnego pojęcia o warunkach, w jakich umysły tych, których przez modę czytują, rozwinęły się, na jakim gruncie urosły, czem były karmione. Toż większość najzagorzalszych wielbicieli Rosyi pojęcia nie ma, że kraj ten błogosławiony dotychczas obywa się bez konstytucyi!!

Przeszliśmy na terasę, glycyniami obrośniętą — i przy czarnej kawie i likierach rozmowa toczyła się dalej. Wypadki ostatnich tygodni, tylekroć razy komentowane, dostarczyły raz jeden więcej, materyału do rozmowy. — Śmierć Carnota — prawo przeciwko anarchistom — proces Trzydziestu — egzekucya mordercy prezydenta. — „To prawdziwe szczęście, mówił znów gospodarz, że ten chłystek tak nędznie skończył. Strach jego w ostatniej chwili, wydzieranie się gwałtowne oprawcom, więcej może warte niż wszystkie te kulejące świeżo ukute prawa — chociażby już tylko dla tego, że wstrzymało pewną ilość piór umaczanych w panegirycznym atramencie, czekających tylko na wiadomość o heroicznej śmierci interesującego syna Italii, by gazety zapełnić współczucie i uznanie budzącymi artykułami. Jakżesz tu teraz przedstawić jako bohatera i dobrowolnego męczennika człowieka, którego czterech ludzi na gillotynie utrzymać nie mogło! Brak mi słów, by wyrazić do jakiego stopnia oburzenia i gniewu doprowadzają mnie te wszystkie anarchistyczne hece! Ja wiem! że źle jest na świecie, wiem, że miliony ludzi cierpi straszny niedostatek, podczas gdy pewna liczba wybranych używa i nadużywa bogactw — wiem, że ustrój nasz społeczny nie jest idealnym, wiem, że niesprawiedliwość rządzi światem. — Wierzę, że zmiany nastąpić muszą, że przestarzałe formy skazane na popękanie i runięcie w gruzy, ale nie wierzę, by w anarchii było zbawienie ludzkości. Nie przekonają mnie na tym punkcie żadni, najwymowniejsi nawet apostołowie anarchii. Śledziłeś pan z pewnością z uwagą przebieg owego sławnego procesu Trzydziestu. Że cały ten proces był po prostu farsą, jak farsą jest owo nowo ukute prawo, którego dotychczas rezultatem jedynym, kilka aresztowań Bogu duszę winnych ludzi, o tem nikt nie wątpi. Ale jakżesz się panu podobała obronna mowa apostoła Sybastyana Faire? Mówi pięknie, wytwornie — ani słowa! ale ta powódź czczych, a pięknie brzmiących frazesów jeżeli słabe głowy tumani, to uczciwie i poważnie myślących przekonać chyba nie może. — A jednak ilu z takich poważnie niby myślących, wyraża się z pewną sympatyą i pobłażaniem o głowach anarchii, jeżeli wogóle działającą, brutalną, mniej winną, bo ślepą rękę piętnują? — Dla czego? Bo to dziś w modzie sprzeciwiać się rządowi, bo w modzie wykrywać plamy na tej niedawno tak ubóstwianej republice. Wiedzą wszyscy co chcą zniszczyć i zwalić, ale dotychczas nikt nie powiedział, co ma stanąć na miejscu zburzonego gmachu.“

Słońce zaszło za lasy, gwiazdy migotały już na niebie, gdy gościnny dom opuściłem — odwieziony przez gospodarza na dworzec. Gdy mu na wsiadaniu rękę podawałem, wypowiadając słowa podziękowania, wyjął z kieszeni paltota broszurkę małą: „Przeczytaj to pan sobie — nie wiem, co powiesz o całości, ale że niektóre ustępy przypadną ci do przekonania, o tem jestem pewien. — Pociąg ruszył — przy świetle lampki przeczytałem tytuł: L'esprit chrétien et le patriotisme. Autor: Tołstoj.

W przyszłym liście rozpiszę się może obszerniej o tem dziełku najnowszem Tołstoja. Ustęp, który mi miał trafić do przekonania, to wyszydzenie przez autora manifestacyi alliansu francuzko-rosyjskiego. Zrozumiałem, przeczytawszy to szydercze wystąpienie Tołstoja przeciwko uroczystościom Toulonu, Paryża, Kronstadtu, dla czego się stary generał tak misternie uśmiechał, żegnając mnie swym podarkiem.

M... Y...

O kobietach-lekarzach i kobiecych kursach medycznych w Rosyi.

W 1872 r. otworzono po raz pierwszy kursa medycyny dla kobiet przy akademii medycznej w Petersburgu: zamknięto je wprawdzie po dziesięciu latach, rezultat wszakże chwilowego ich istnienia dowiódł nietylko wielkiej korzyści, ale faktycznie doniosłej potrzeby instytucyi, która obdarzając olbrzymie przestrzenie państwa rosyjskiego zwiększoną ilością lekarzy, przyczyniła się niewątpliwie do uzdrowotnienia mas ciemnego, nieokrzesanego ludu.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że obszary Azyi środkowej zajmują głównie muzułmanie, których wiara nie pozwala kobietom w razie choroby zasięgnąć pomocy lekarskiej u mężczyzn, to sam ten fakt chyba usprawiedliwi dostatecznie konieczność propagandy lekarek w krajach, związanych politycznie z garstką wyznawców proroka. Jedenaście przybyłych nad Amu i Syr-Daryę na stałe kobiet lekarzy w krótkim czasie zdołały pozyskać zaufanie muzułmanek, wydzierając je z rąk znachorek, nadużywających częstokroć wpływu swego.

Do roku 1893 Rosya liczyła kobiet lekarek 409: z tych 245 wypadało na stolice, miasta gubernialne i okręgowe, 83 na miasta powiatowe, 81 na wsie i wioski. Największa ilość osiadła w Petersburgu, gdzie ich jest 63; w Moskwie praktykuje tylko 17, w Odessie 21. Na Królestwo polskie przypada kobiet lekarek 5; z tych 3 zdobyły liczną niezmiernie praktykę w Warszawie, a mianowicie: Dr. Anna Tomaszkiewicz-Dobrska i dr. Teresa Ciszkiewiczowa, wychowanki uniwersytetów zagranicznych, oraz dr. Julia Klauzińska, była studentka petersburskich kursów medycznych. Nad Bałtykiem osiadło kobiet lekarek cztery: 3 w Rydze, 1 w Mitawie.

I gdy uczeń zaczął grać, siedziała młoda kobieta w przyległym pokoju, i słuchała jak jej Adolf wybijał takt nogą o posadzkę, i jak początkujący wiecznie brzdąkał swoje okropne c d e f g a h c.

Nagle zadzwoniono, i do pokoju wpadło trzech braci z czterema siostrami. To była wrzawa i śmiechy — wysoki Karol pobiegł zaraz do bufetu, wyjął szklanki do punczu i powiedział jakąś nieprzyzwoitość. A siostry patrzały jej w oczy, oczy też mają siną obwódkę. Pieniądze przeznaczone na wydatki gospodarskie musiały starczyć — i posłano natychmiast do winiarni.

Adolf, słysząc tę wrzawę, otworzył drzwi i powitał uśmiechem swoich kochanych krewnych. Ucieszył się serdecznie, że żona jego miała rozrywkę — doprawdy cieszył się, bo sam nie miał czasu, aby ją zabawiać.

— Masz dziś zielony nos — krzyknął Eryk, a to spowodowało Adolfa do zamknięcia drzwi. C, d, e, f, g, a, h, c! Wielki Boże! Ile on dziś musiał znosić przykrości podczas tej lekcyi! Tam rozmawiali wesoło i pili, a on nie mógł być razem z nimi! Nareszcie młoda kobieta zapukała lekko do drzwi — niechże przyjdzie i wypije szklaneczkę na pożegnanie rodzeństwa! To może uczynić, ale o piątej musi znowu iść na lekcyę.

— Będzie to dla ciebie bardzo przyjemnem, Elin, siedzieć tu i przysłuchiwać się temu zarzynaniu świń, rzekła siostra Mala.

Ale Elin obraziła się i powiedziała, że na to nie wychodzi się za mąż, aby mieć zawsze spokój i wygody.

Więc na co?

— To nie powinno cię wcale interesować!

Coraz gwarniej było, gdy Adolf przyszedł, aby się pożegnać, musiał bowiem iść do opery. Ale prosił wszystkich, aby zostali u siostry i zjedli u niej kolacyą: nie chciał jej zostawić samej. Na niego nie mieli czekać.

I zostali.

Gdy wrócił o dwunastej, zastał żonę już śpiącą. Jadalnia — jego ładna jadalnia — była pełną dymu i nieprzyjemnych zapachów; obrus, wczoraj zupełnie czysty, miał pełno plam, stłuczona szklanka leżała na podłodze, a resztki odstałego piwa były jeszcze w kufelkach! Mała odrobina zeskrobanego masła leżała na talerzu, chleb był zjedzony, na jednym z półmisków odkrył kawałek tłustej kiełbasy (chude mięso zjadło owe wytworne towarzystwo) dalej, znajdował się jeszcze kawałek ozora, podobnego do podeszwy od buta, i dwa całe anchowisy, na których były znaki licznych ukłuć widelcy. Młoda kobieta obudziła się.

— Znalazłeś jeszcze co do jedzenia, mój drogi?

— O tak!

On nie zważał tak bardzo na to, poszedł do kuchni i przyniósł sobie butelkę piwa. Potem udał się na spoczynek. Jego żona byłaby chętnie jeszcze z nim rozmawiała, ale on natychmiast usnął.

Następnego dnia przyszła w południe teściowa z wizytą. Gdy Adolf wrócił, poczuł woń portwajnu. Po obiedzie przyszedł teść. Adolf udzielał znowu lekcyi, i stary pożegnał się prędko, zły, że zięć nie chce się zwolnić z lekcyi w pierwszych dniach miodowego miesiąca. Ale bracia i siostry byli wytrzymali i uparci. Nieustannie było jedno z nich wolnem, i zmieniali się ciągle. Puncz nie schodził ze stołu, a popiół od cygar pokrywał stale posadzkę.

Pewnego dnia odważył się Adolf na zrobienie małej uwagi co do obfitości punczu, którego on sam nawet jeszcze nie skosztował.

A ha właśnie! Nikomu więc z rodziny nie wolno już do domu wejść. Ona wie dobrze że wszystko do niego należy i rodzina jej powinna także wiedzieć o tem.

— Ale ja mówiłem tylko, że codziennie pijecie puncz, mój słodki aniele!

— To nie prawda! Wczoraj nie piliśmy!

— Być może! Ale jeżeli w trzydziestu dniach nie pijecie jednego tylko dnia, to można obrazowo powiedzieć, że pijecie codziennie!

Rozmowy obrazowej ona nie rozumiała. Nie była po temu wychowaną, ale przycinki dawać — to umiała. Małżeństwo jej było zu-

Na Kaukazie jest ich 13, z tych 7 w samym Tyflisie. Na Syberyi 7.

W 1890 roku na 24 lekarzy miejskich wypadało 15 kobiet, z których 14 pozostawało w służbie od 1882 r. Wszystkie one wywiązywały się z obowiązków swych bez zarzutu, zasługując w zupełności na uznanie władzy i zdobywając sobie ufność pacjentów, z łona których nie wychodziły nigdy skargi, lub zażalenia na nie. Świadczy to o działalności kobiet przychylnie tem bardziej, że każda z nich przyjmowała rocznie najmniej do 4,000 chorych u siebie, leczyła zaś 1,100 na mieście.

W licznych urzędowych sprawozdaniach z pracy kobiet-lekarzy spotykamy gorące pochwały dla nich. Ziemstwa, wprowadzające je na służbę, ściągały wprawdzie na siebie liczne zarzuty; dowodzono im, że bawią się w liberalizm z funduszów publicznych, idąc w ślad za panującym prądem mody. Gorliwość, sumienność i pracowitość lekarek zbiła jednakowoż szybko tego rodzaju uprzedzenia. Dziś nietylko inteligencya, lecz i lud prosty oswoił się z myślą, iż wiedza medyczna kobiety może nie ustępować wiedzy mężczyzn; dawne przesądy minęły; wrota nauki winne stać otworem dla chciwych jej adeptów bez różnicy płci i wieku.

Co się tyczy tego ostatniego, to można powiedzieć śmiało, iż większość wstępujących na kursy studentek miała już po za sobą liczbę lat, w których przestaje się działać lekkomyślnie i nierozważnie, dążąc raczej za kaprysem ułudy, aniżeli za ściśle i logicznie obmyślonym celem pracy. Z 796 kobiet, które poświęciły się medycynie, w ciągu pierwszych lat ośmiu trwania kursów najmłodsza słuchaczka liczyła lat 17, najstarsza 40, przeciętną zaś dla $^{2}|_{3}$ ogółu studentek stanowiły lata od 20—24.

W początkach istnienia kursów baczono wielce, aby słuchaczki nie rekrutowały się z pomiędzy jednostek, niewytrzymywałych na ciężką pracę i nieuniknione częstokroć braki twardego życia studenckiego. Skoro fakty okazały wszakże, iż do zajęć swoich studentki przystępowały z całą gorliwością, obstając przy nich wytrwale, obniżono skalę wymagań pod tym względem. Trzy czwarte słuchaczek przed wstąpieniem na kursy kończyły średnie zakłady naukowe, pomimo to wszakże podlegały ścisłemu bardzo egzaminowi próbnemu i tylko te, które zdawały go z powodzeniem, otrzymywały prawo studyowania medycyny. Z 796 słuchaczek 417 skończyło gimnazyum, 76 instytuty, 87 średnie szkoły, 216 otrzymało patenty nauczycielek domowych. Do 1877 r. liczba tych ostatnich była tak znaczna, iż równała się niemal liczbie gimnazistek (194 i 196), lecz potem żądania znacznie wzrosły. Patent domowej jedynie nauczycielki z wyszczególnieniem ruskiego języka, historyi, geografii i matematyki upoważniał do próbowania szczęścia w bardzo trudnym, niezmiernie surowym egzaminie.

Nader ciekawą i charakterystyczną stronę kwestyi wyższego medycznego wykształcenia kobiet przedstawia stanowisko towarzyskie studentek. Większość ich rekrutowała się oczywiście z pomiędzy sfer uprzywilejowanych. Na wymienianą tu ustawicznie cyfrę 796 słuchaczek wypadało mianowicie:

Żon i córek urzędników rządowych	244
„ „ kupców	138
„ „ wojskowych (jenerałów i oficerów)	107
„ „ lekarzy i studentów .	41
„ „ przedstawicieli profesyi wyzwolonych . . .	20
„ „ duchownych	59
„ „ szlachty	47
„ „ niższych urzędników .	13
Mieszczek . . . . , .	100
Cudzoziemek.	8
Wieśniaczek i kolonistek	9
Cechowych i rzemieślniczek . . .	4
Niewiadomego pochodzenia	1
	796
Prawosławnych w tej liczbie było .	571
żydówek	169
katoliczek	38
luteranek	17
	796

Petersburg dał 131 studentek, Moskwa 48,. miasta południowej Rosyi 135, Syberya 7, gub Archangielska 5.

Ilość kobiet zamężnych i wdów stanowiła 10,6 procent t. j. na 796 równa się 84. Praca bynajmniej nie odrywała studentek od życia towarzyskiego, gdyż w przeciągu lat ośmiu z 712 panien 116 wyszło za mąż.

Wysoce charakterystyczny i zaznaczenia godny jest fakt, iż zamążpójście nietylko nie przeszkadzało, lecz przeciwnie, jak najkorzystniej wpływało na postępy słuchaczek w nauce. Na 100 kobiet, kończących kursy, wypadało panien 37,4 proc., mężatek 33,3 proc., wychodzących za mąż w czasie nauki 54 proc., przed skończeniem zaś usuwało się panien 26,6 proc., mężatek 33,3 proc., poślubionych w czasie nauki 19,8 procent. Niepodobna przypuścić, aby cyfry, powtarzające się stale w ciągu lat 8miu, miały być tylko przypadkowe.

Jako dowód bezsprzecznych zdolności kobiet do medycyny, oraz wytrwałej, sumiennej i gorliwej ich pracy może służyć fakt, że z 796 studentek przeszło 600 zdało egzamina świetnie. Procent to znaczny, na nieszczęście. ściślejsze dane można podać jedynie za lata 1872—1880: z ogólnej liczby 796 słuchaczek umarło wtedy 18, wystąpiło z uniwersytetu dla różnorodnych przyczyn 175 i dopiero pozostała garstka przechodziła z kursu na kurs co rok, skończywszy je bez żadnych przeszkód.

Jako drugi dowód zdolności kobiet można uważać niezwykłą ich płodność na polu literatury medycznej. W ciągu lat 17stu, które upłynęły od chwili zjawienia się pierwszej partyi lekarek, kilka z pomiędzy nich odznaczyło się pracami swemi, nietylko w kraju lecz i za granicą. Jako specyalistki w dziedzinie bakterjologji znane są panie: Baskin i Szulc, w dziedzinie hygieny: pani Pokrowska, oftalmologji — Serebrennikowa. Ginekologja i choroby dziecięce wywołały tak wielką ilość cennych prac pióra kobiecego, iż niepodobna ich wyliczyć w krótkiem sprawozdaniu.

Każdy bezstronny i obeznany z medyczną literaturą rosyjską badacz przyzna, iż stosunkowo procent znakomitych kobiet lekarzy przewyższa procent bardziej znanych i zasługujących na wyróżnienie mężczyzn doktorów. Zasługi kobiet tembardziej oceniać musimy, im liczniej przedstawiają się nam trudności, jakie każda z nich ma do zwalczenia przed wstąpieniem na kursa. Na sto studentek zaledwie 25 procent może skończyć uniwersytet w 25tym roku życia, 40,7 proc. w 26tym do 28go, 22,4 proc. w 29tym do 35go, a 1 proc. po latach 35ciu.

Cyfry powyższe wskazują, jak późno kobiety, walcząc z tysiącem przeszkód, mogą zabrać się do pracy; szkopuł to ważny: usunięcie go rozszerzyłoby niewątpliwie zakres studjów niewieścich.

Wspomnieliśmy już mimowoli na początku niniejszego artykułu o kobietach, zajmujących miejsca rządowe; ostatniemi laty liczba ich wzrosła znacznie, a to głównie dzięki komitetowi cholerycznemu, który rozpowszechnił ich działalność.

Z 309 zarejestrowanych kobiet-lekarzy zajmuje urzędy:

lekarzy ziemstw . . .	87
lekarzy sanitarnych i rady miejskiej .	13
przy szpitalach i zakładach dobroczynnych . . , ...	59 / 17
zakładach naukowych	3
instytucyach rządowych	9
fabrykach	1
Towarzystwach dobroczynności . .	6
na służbie prywatnej	210
wolnopraktykujących	4
nie praktykujących zupełnie	

---

pełnie innem, niż je sobie wyobrażała. Wszakże męża nigdy w domu nie było, a jeżeli był, to albo się kłócił, albo spał. Nadto dał jej do zrozumienia, że wszystko do niego należy.

Tego samego dnia otrzymał na nieszczęście Karol odmowną odpowiedź na prośbę o pożyczenie pieniędzy, i to krótko i zwięzłowato, bez żadnego tłumaczenia i uniewinnienia się. Cała familia dowiedziała się wkrótce o tem, jako i o tej historyi z punczem, i okrzyczano Adolfa skąpcem i fałszywym — takim nie był przecież przed ślubem!

Adolf byłby się mógł bardzo dobrze bronić tem, że jako kawaler stał się o wiele lepiej niż teraz, mając obowiązki starania się o utrzymanie dla żony. Ale byliby mu naturalnie powiedzieli, że jego psim obowiązkiem jest przyzwoite wyżywienie córki zegarmistrza!

Pewnego dnia wracał Adolf bardzo późno i bardzo zgłodniały do domu. Na nakrytym stole znalazł kawałek sera, który wyglądał jak wydrążony burak, próżny półmisek, na którym bezwątpienia były niedawno jeszcze befsztyki, na innym była pewnie wątrobiana kiszka. Próżnych skorup od jaj było mnóstwo, ale masło było zjedzone.

Głodny i zdenerwowany, byłby się rozgniewał, gdyby wogóle był zdolny do tego. Wolał więc rozpatrywać tę sprawę z komicznej strony. Żona leżała w łóżku przygotowana na scenę.

— Kochano żono, czy żaden z twoich braci nie jest lubownikiem tłustej kiełbasy?

— Myślisz, że mam za wiele braci?

— O tak, w każdym razie masz ty więcej braci niż ja masła.

— Czy tam nie ma masła?

Nie zważała doprawdy na to i żal jej było bardzo, ale nie chciała ustąpić, dla tego zawołała gniewnie:

— Może jestem twoją służącą?

— Tego nigdy nie myślałem, bo gdybyś nią była, to postąpiłbym sobie z nią inaczej.

— Inaczej? Jak to rozumiesz?

— O, to obojętne!

— Inaczej! Możebyś ją bił?

— Gdybyś była moją służącą? Tak jest!

— O, to okropnie! Chcesz bić swoją żonę!

— Ale tylko wtedy, gdybyś była moją służącą, inaczej broń Boże!

— Więc chciałbyś mnie bić!

— Gdybyś była moją służącą, a że nią nie jesteś, przeto nie chcę cię też bić?

Jeszcze czego! Poszła za mąż, aby być panią domu, a nie służącą. Jeżeli mu się co niepodoba, to niech się zwróci do służącej, ale jej samej niech da pokój. Nie opuściła swego „ukochanego domu rodzicielskiego“ na to, aby się rzucić w objęcia takiego człowieka!

Słysząc te słowa „dobry rodzicielski dom“, był Adolf tyle nierozsądnym, że zaczął kaszleć.

— Czy to może nie był dobry dom? Czy miałby mu co do zarzucenia? Czy nie jest on dosyć wytworny?

Takie sceny powtarzały się odtąd częściej.

Potem urodziło się dziecko. Młoda kobieta nie mogła sama dać sobie z niem rady, dla tego musiała Mala przez długi czas pomagać jej we wszystkiem. I tak zamieszkała Mala pokój jadalny. Panu Adolfowi zdawało się, że żyje w wielożeństwie, bo spódniczki Mali leżały często w sypialni na jego rzeczach. Przy stole usługiwała Mala. Z sypialni zrobił się pokój dziecka, a chcąc dla siebie zatrzymać jadalnię, musiał ustąpić z pokoju, w którym udzielał lekcyi.

„Zarzynanie świń“ nie mogło się teraz naturalnie odbywać w jego mieszkaniu — musiał chodzić na lekcye do swoich uczni. Zdarzało się często, ze rodzice mówili mu: „mały Fryderyk jest dziś chory“, lub „jest jeszcze w szkole“. To zmuszało go do siedzenia w piwiarni, podczas gdy czekał na nową lekcyę, droga do domu była mu za daleką i za uciążliwą.

Teraz rzadko kiedy wracał do domu.

Wieczorem spotykał się ze znajomymi w restauracyi teatralnej i rozmawiał o muzyce i o tem, co go zajmowało. Gdy wracał do domu dostawał burę, a więc nie spieszył się z tem wcale. Pożycie domowe było dla niego piekłem, to było wszystko, co wiedział; zdawało mu się,

Jeżeli zestawimy ilościowo cyfry pracujących na urzędach publicznych mężczyzn i kobiet, to dojdziemy do wniosku, iż te ostatnie otrzymałyby znaczną przewagę, gdyby liczba ich, skutkiem zamknięcia kursów nie przerwała się raptownie. Stosunek przedstawia się mniej więcej tak, że na sto lekarzy mężczyzn i kobiet wypadło:

Ziemskich — mężczyzn	14,29, kobiet	21,21:
miejskich, rady miejskiej i sanitarnych	4,56 „	3,18
przy szpitalach i zakładach dobroczynnych . . .	10,39 „	14,42
przy zakładach naukowych	1,83 „	0,73
„ fabrykach	2,32 „	2,20
na służbie prywatnej . .	0,73 „	1.47

Pensya jaką otrzymują kobiety — urzędnicy lekarze w liczbie 195 wynosi 141,000 r. Niestety, niektóre ziemstwa ustanowiły znacznie mniejsze wynagrodzenie dla kobiet, aniżeli dla mężczyzn, tak że n. p. tam, gdzie przeciętna płaca mężczyzny wynosi 1315 r. kobieta otrzymuje zaledwie 944 rubli.

Cyfra powyższa przypada na rok rejestracyi, kiedy praktyka kobiet - lekarzy tkwiła jeszcze w samym zarodku. Obecnie, niewątpliwie, praca niewieścia większej nabrała ceny, przyjdzie zaś chwila, w której różnice płciowe znikną pod tym względem zupełnie.

Ze wszystkich państw europejskich Rosya niemal pierwsza otworzyła wrota wiedzy medycznej dla kobiet: niestety, o ile początek był pomyślny, o tyle dalszy ciąg, prócz zastoju i odrętwienia, nie przyniósł nic za sobą. Anglia, Francya, wstępując w ślady Szwajcaryi, dowiodły, iż tamowanie kobietom wolnego wstępu do uniwersytetów nie ma racyi bytu, Rosya tymczasem bez powodu doszła do wręcz przeciwnych przekonań, a dlaczego? niewiadomo.

Instytut kliniczny wielkiej księżnej Heleny Pawłówny, na czele którego stoi słynny profesor Afanasjew, zgromadzając rok rocznie liczne zastępy pracowników i pracowniczek dowodzi najlepiej pomyślnych skutków wspólnych dążeń płci obydwóch. Doświadczenie lat kilku wykazuje, z jak wielkiem namaszczeniem i pojęciem celów swoich kobiety stają na progu świątyni wiedzy: dlaczegóż zatem utrudniać im wstęp ten na każdym kroku.

Małe audytorja krótkotrwałych petersburskich kursów kobiecych stracone na zawsze: myśl o tem gnębi i boli niejedną samotną a żądną pracy istotę, dla której życie zyskałoby treść i barwę, gdyby je zdołał rozjaśnić słaby bodaj promyk nauki.

(*„Słowo Polskie“*).

NA WYŁOMIE.

(Wspomnienia z podróży. Projekt p. Niesiołowskiego.)

Więc znowu na rozpalonym bruku poznańskim, w spiekocie kurzu i zgiełku. Przecieram oczy, wyprężam członki, budzę się.

Usnąłem przed trzema tygodniami a do snu śpiewały mi szmery siklawy, spływającej z szczytów tatrzańskich brylantową wstęgą. Czarowna muzyka! Jak ona szumi, skarży się, upaja... I w sennej głowie znów huczą wodospadów gromy i pian lawina się kłębi. Skamieniałe olbrzymy z grzywami śniegów, potężna pieśń życia zakrzepła, niebo w mgły srebrne rozdęte, w skalnych gardzielach zatopione stawy, kolosy z piersią rozdartą, wielki sarkofag przyrody — to Tatry...

Zwolna zapływa wszystko: muzyka gór cichnie, rzeźba granitów w szary mrok się roztapia, barwy bledną i gasną w oddali. Cisza! Myśl senna, wyczerpana wspomnień pogonią spoczywa bez ruchu. Nagle nowe zjawisko i nowych tonów kaskada. Dreszcz lekki przebiega ciało, — zgrzyt i rozdźwięk krzykliwy wpija się w serce. Zdaje mi się, że znajduję się w starym ponurym grodzie. Wszystko tu jakieś zgrzybiałe, zasuszone i śpiące, — ludzie, domy i kamienie. Błąkam się po ulicach drzemiącego miasta, wpatruję się w oblicza nieznanych mi ludzi i dziwię się tej wielkiej zadumanej mumii. Nekropolis — miasto umarłych, szepnąłem. W tej chwili jednak wesołe gwary zamąciły ciszę grobową. Garstka młodzieży przesunęła się alejami posępnego grodu — spoglądam i poznaję niwiniątka poznańskie, które pod wodzą poznańskiego kanclerza — tu przeprosić muszę dowcipnego Tristana za pożyczkę — wyruszyły w podróż daleką, aby podziwiać oratorską swadę mistrza swojego i zaświadczyć retuszowaniu zaściankowych wielkości. Zbliżam się do młodych znajomych.

— Dokąd przyjaciele?

— Do teatru!

— Czy nowa owacya?

— Tak panie! Kraków operetką wita wodza naszego.

Pobiegli jak burza, a jam znów został samotny w cichych, bezludnych nieomal alejach. Wkrótce jednak zbudził się gwar mieszany w zielonem ustroniu, — śmiechy, żywe dysputy i turkot powozów walczyły z sobą o lepsze. Uszu moich dolatywały urywane słowa: Teatr... Dziecko szczęścia... Poznańczycy... Trapszówna... a w końcu popularna arya Millöckera o „dragonach saperlot“. To Kraków spieszył czołem uderzyć przed muzą operetkową i hetmanem poznańskiej młodzieży. „Pójdźmy za nim,“ pomyślałem z Sienkiewiczem — i poszedłem

Tam w prosceniowej loży, w towarzystwie burmistrza Friedleina siedział *On*: tam w głębinach parteru upojeni przeczuciem dziwów teatralnych i hołdów śpiewających czekali oni, — młodzieńcy poznańscy. Kapelmistrz wstaje, podnosi batutę i zręczne jak kozice tatrzańskie dziewczęta płyną po scenie w objęciach ciętych dragonów. O! promienieją oblicza poznańskich niewiniątek. *Nadzieja* jest operetka dla młodych, — dla starych *wspomnieniem*.

Nie sądźcie jednak, że Kraków zmysłom wielkopolskich gości rzucił słodki karmelek, a ducha niczem nie umiał ugościć. Ten duch — w naszej mistycznej bowiem reakcyi nic już bez „ducha“ obejść się nie może — ten duch, powtarzam wyjechał do galicyjskiej krainy, aby w bengalskim ogniu szumnych owacyi upić się własną wielkością, pieścić się melodyą kłamstw konwencyonalnych, — no! i z pięknych igrzysk wystawowych wykraść iskry nowej energii, siły i nadziei. Oczywiście pamiętano przedewszystkiem o pierwszem. Słuchajcie zatem! Gdy muza Millöckera rozrzechotała się na całe gardło, gdy operetka, ten marny surogat sztuki, wyśpiewała całe foljanty rozlicznych domyślników, gdy zaprezentowano gościom wielkopolskim bogaty skarbiec simili-brylantów artyzmu, gdy wyczerpano wszystkie zapasy kupletów, osnutych na temat pończoszki i tych historycznych brudów krakowskich, które elegancki pan burmistrz wymiatać się lęka, — wtedy wyskakuje na scenę jakieś indywiduum w kraciastych spodzienkach, rzuca czułe spojrzenie ku młodzieży w głębiach parteru i czulsze jeszcze ku loży poznańskiego hetmana, a potem śpiewa... ach! śpiewa kuplet wspaniały o *kolonizacyi*. A teraz proszę o wielką ciszę, albowiem muza operetkowa sąd wydaje o naszych „tytanicznych“ zapasach z Bismarkowskim Molochem. Clown kratkowany otwiera usta i uśmiechając się jak stara kokietka tak nucić zaczyna:

„W wielkopolskiej tam ziemicy
Chcą Polakom wydrzeć ziemię
Ani piędzi nie wydarto
Bo Poznańczyk harde plemię (sic)
Cześć wam za to goście mili,
Cześć... cześć...

Co to? Aktor jąka się, krztusi, spogląda rozpaczliwie ku budzie suflera, a wreszcie słychać szept tłumiony:

„Proszę od nowa!“

I biedny kapelmistrz powtórnie podnosi batutę. Płynie pieśń o „wielkopolskiej ziemicy“, mija pierwsza zwrotka, zbliża się miejsce krytyczne... „cześć... cześć...“ Boże! mistrz kupletów powtórnie słania się, blednie i, wzdrygnąwszy ramionami, z jakimś bolesnym grymasem opuszcza scenę.

Chwila posępnej ciszy. Potem zaczyna się szmer, gdzieniegdzie ironiczne oklaski i złośliwe uśmiechy, a wódz poznański sili się na spokój marmurowy, z poza którego wychyla skrzywione oblicze — ambaras. Za kulisami zgiełk i zamieszanie. Co począć? Jak sytuacyę ocalić? Wreszcie, po długiem jak wiek cały milczeniu i pustce wychodzi znowu kratkowny aktor na scenę i schyliwszy się do budy suflera wyciąga z niej jakiś arkusz papieru — nicomal pergaminu. To rękopis arcydzieła. Dalej! graj orkiestro operetkowa! Teraz nie zmyli się komik, bo ręczę ci słowem honoru, że zna wszystkie głoski łacińskiego alfabetu. Przy dźwiękach muzyki odbywa się czytanie kupletu o „kolonizacyi“. Czytanie się udało. „Cześć, cześć! Wielkopolsce cześć!“ a jakaś stara matrona za fotelem moim dodała smutnie: „To palec boży! Kłamstwo przez usta przejść nie chciało śpiewakowi.“

Tak zakończyła się operetkowa owacya dla poznańskiej młodzieży pod wodzą osiwiałego w boju hetmana.

* *

Redakcya „Przeglądu Poznańskiego“ otrzymała przed niedawnym czasem od p. A. Niesiołowskiego z Szarleja wezwanie, aby poruszyć sprawę pomnika dla Karola Marcinkowskiego oraz postarać się o napisanie obszernego i krytycznego życiorysu wielkiego filantropa i patryoty. Na poparcie zabiegów naszych około przeprowadzenia drugiego projektu ofiarował pan A. Niesiołowski 200 marek.

Redakcya „Przeglądu Pozn.“ zwróciła się w porozumieniu z kilku przyjaciołmi do szlachetnego ofiarodawcy z zapytaniem, czy zechce przeznaczyć powyższą sumę na cel wiadomy w charakterze premii konkursowej, a na zapytanie to otrzymała przychylną odpowiedź, z której kilka ustępów poniżej przytoczyć się ośmielamy.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytawszy z przyjemnością co dopiero

że żony nie ma i że nigdy jej dotąd nie miał, że zawsze jeszcze kiedyś będzie się musiał ożenić. Ale dzieci miał wiele.

Nie mógł też pojąć, kto był winien temu nieszczęśliwemu życiu. Żona twierdziła, że on, że nigdy go w domu nie ma, a on odpowiadał, że do tego zmusza go jego zawód. I oboje mieli słuszność. Innego zaś zawodu nie mógł teraz wybrać, to było niepodobieństwem. A we dnie, gdy wszyscy ludzie pracują, nie można dawać przedstawień w teatrze!

Przyznaje chętnie, że żona jego nie może być szczęśliwą z człowiekiem, który tylko w nocy do niej przychodzi, jak do jakiej dziewczyny. Ale cóż robić. Życie nie może przecież zgryść wszystkich tych twardych orzechów, jakie rosną na krzewach kultury. Trzeba się do tego przyzwyczaić, jak do wielu innych rzeczy. Ona poszła za mąż, byleby mieć męża, on się ożenił, byleby tylko mieć żonę. Dla tego mieli tak wszystko, jak właśnie mieli. Nikt im tam pomódz nie mógł. Pod takimi warunkami nie mógł im pomódz nawet — sam diabeł!

odebrany list, pospieszam z odpowiedzią, że na jego wywód pierwszy, dotyczący „nagrody konkursowej“ najchętniej się godzę. Wiem wprawdzie, że 200 marek nie są wystarczającą zachętą do napisania obszernego życiorysu męża takiej potęgi jakim był ś. p. dr. Karol Marcinkowski, *lecz ma to być niejako zachętą do powiększenia kwoty tej przez ogół.*

Mojemi skromnemi wiadomościami dotyczącemi życia i działalności Marcinkowskiego chętnie służyć będę, a sądzę, że rozmaite dotąd wydane, niejako ulotne rozprawki n. p. Cegielskiego, ks. dr. Kanteckiego, dr. Zielewicza, jako i odczyt Szanownego Pana, miany w czasie 50cio letniej rocznicy założenia „Tow Nauk. Pomocy“, stanowiłyby również cenny materyał do utworzenia dzieła, na którem nam tak bardzo zbywa... Co do pomnika nadmieniam tylko, że czas, aby komitet sprawę tę poruszył. Resztę pozostawiając łaskawej czynności Szanownego Pana, chętnie z mej strony służę dalej, pozostając

Z prawdziwym szacunkiem

A. Niesiołowski.

Przytaczając list powyższy, poczuwamy się do obowiązku wyrazić przedewszystkiem głębokie uznanie zacnemu patryocie za ofiarę na cel tak piękny złożoną, a posłuszni wezwaniu jego odzywamy się do czytelników naszych i wszystkich pism polskich z gorącą prośbą, aby szlachetne te usiłowania popierać raczyli.

Składki na utworzenie odpowiedniego trudnemu zadaniu funduszu konkursowego przyjmuje od dnia dzisiejszego redakcya pisma naszego, a skoro fundusz ten urośnie do wysokości tysiąca marek, postaramy się w porozumieniu z inicyatorem projektu o wybór sędziów konkursowych i rozpiszemy warunki literackiego turnieju.

— Cel piękny i szlachetny! Dążmy ku niemu! *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

Ks. Jan Piotrowski Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków. wydał A. Czuczyński. W Krakowie, nakładem księgarni Spółki Wydawniczej polskiej 1894. stron XVI i 240.

M. Kojałowicz w swoim D n i e w n i k u p o s l e d n i a w o p o c h o d a S t i e f a n a B a t o r i a n a R a s s i j u wydrukował po raz pierwszy zbiór listów ks. Jana Piotrowskiego, które złożyły się na ciekawy pamiętnik oblężenia Pskowa. Później ks. Ignacy Polkowski znalazł w bibliotece dzikowskiej drugi, wcześniejszy nieco kopiał tych listów, Są pomiędzy temi kopiami pewne, nieznaczne zresztą różnice. Uwzględnił je p. A. Czuczyński w obecnem wydaniu, które po raz pierwszy uprzystępnia szerszej publiczności zapoznanie się z tym wielce ciekawym a ważnym pamiętnikiem. Już po wydaniu jego przez Kojałowicza nastała zmiana w zapatrywaniach na wyprawę pskowską, na rozejm w Jamie Zapolskiej, a zwłaszcza na działalność Possewina. To samo dowodzi wysokiej wartości dziennika ks. Piotrowskiego. Nie przypuszczał on nawet, że notaty jego spisywane z dnia na dzień i wysyłane w listach do marszałka koronnego, Andrzeja Opalińskiego, będą dla potomnych obrazem pełnym życia i ważnem źródłem historycznem. Prawda, że wartość literacka jego listów, czyli pamiętnika, wiele na tem traci, bo nie stara się o ozdobność stylu, a przytem opowieść dziejową przeplata sprawami postronnemi, często nawet obojętnemi. Ale nieświadomość jego o niezwykłej wartości tego, co pisał, pozostawiła Piotrowskiemu zupełną swobodę nieliczenia się z ludźmi i okolicznościami. Nie krępując się niczem, pisał na co patrzył i słyszał, a widzieć i słyszeć mógł wiele, będąc sekretarzem królewskim, nie odstępując prawie Batorego i Zamojskiego. Anegdotyczne ustępy pamiętnika są ważnym przyczynkiem do charakterystyki czasu i osób działających. Sam autor pamiętnika niebardzo świetnie w nim wygląda, bo z naiwnością wciąż skarży się na swoje niewczasy i radby ujrzeć pokój za każdą cenę, aby tylko nie marzł i powrócił do wygód domowych. Oprócz osobistych narzekań rzadko bawi się sam w krytykę działań i ludzi. ale zapisuje skrzętnie wszelkie opinie wychodzące tak ze strony zwolenników jak i przeciwników króla i Zamojskiego w sprawie dalszego przedłużania wyprawy. Jest więc o ile możności bezstronnym, a to najwyższa zaleta, jakiej wymagać należy od pamiętnikarza Wydawca mając na względzie spopularyzowanie D z i e n n i k a, przetłomaczył w tekscie wszystkie zwroty łacińskie, a znaczenie niezrozumiałych dziś wyrazów i nieco objaśnień rzeczowych podał na końcu książki, którą każdy, miłujący dzieje ojczyste znać winien. Szkoda tylko, że p. Czuczyński nie uzupełnił opowiadania ks. Piotrowskiego kilku choćby dokumentami z Kojałowicza. Taki np. list Batorego do cara, pisany ręką Zamojskiego, a o których Piotrowski kilkakrotnie wspomina, jest tak świetnym, oryginalnym, wprost nieocenionym dokumentem, że przez umieszczenie go we właściwem miejscu, pamiętnik Piotrowskiego zyskałby sto procent na wartości. K. Bart.

* * *

Nr 14 i 15 „Słowa Polskiego“ wyszedł i zawiera: Przegląd polityczny, — Sprawy polskie: Walka z germanizaryą (szkice z Poznańskiego), I. (ciąg dalszy) napisał Izydor. — O kobietach lekarzach i kobiecych kursach medycznych w Rosyi. — Powieść i poezya: „Rozdzióbią nas kruki wrony“ (bajka), nap. Maurycy Zych. — Malarz z Poręby, obrazek z życia ludu galicyjskiego (ciąg dalszy), nap. Kroć. — ...Z pamiętników uciekieniera I. nap. Bronisław Szwarce. — Odczyt o Kościuszce, wygłoszony na uroczystem zebraniu młodzieży polskiej w Petersburgu. — Moralność w polityce' IV, odczyt Z. Miłkowskiego. — Rozmaitości. — Bibliografia. — Ogłoszenia

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Z teatru wojny chińsko-japońskiej wciąż sprzeczne nadchodzą wiadomości. O ile z dotychczasowych informacyi z pewnem prawdopodobieństwem wywnioskować można. to Chińczycy odnieśli kilka drobnych korzyści, które dzienniki ich rozdęły do rozmiarów wielkiego zwycięstwa. — Zapowiedziana we Włoszech amnestya dla skazanych przez sądy wojenne w Sycylii i prowincyi Lunigiana przestępców obejmie 130 osób. — Grecyą nawiedziło ponowne trzęsienie ziemi, które jednak niebezpiecznych szkód nie wyrządziło. — „Ogólny związek niemiecki“ zwołuje na dzień 9 września zebranie do Berlina i stawia na porządku dziennym między innemi kwestyę polską. — Anarchistom paryzkim udało się wykraść znaczny zapas dynamitu. Aresztowano pewnego robotnika podejrzanego o kradzież.

Zjazdy i kongresy. W Jarocinie odbyło się 26 b m. walne zebranie Kółek rólniczych zjednoczonych powiatów pleszewskiego i jarocińskiego. — We Lwowie odbył się 26 i 27 sierpnia wiec włościański. Z mówców wyróżnili się przedewszystkiem pp. Wysłouch, Stapiński, dr. Franko, Bojko, ks. Stojałowski, Henryk Rewakowicz i prof Jaegerman. Na wiecu tem poruszono między innemi sprawę obrony drobnej własności, sprawę powszechnego głosowania, równouprawnienia ludu i przekupstwa kwitnącego w galicyjskich kampanjach wyborczych; w dniach 16 i 17 września odbędzie się we Lwowie zjazd polskich aptekarzy. — W Antwerpii odbyły się w czasie wystawy zjazdy następujące: Kongres straży ogniowych, kongres dziennikarski, kongres archeologiczno-historyczny, kongres prawników i ekonomistów, kongres lekarzy i przyrodników, zjazd międzynarodowy „des Sauveteurs“, kongres „du patronage des Condamnés, des enfants moralement abandonnés, des vagabonds et des aliénés“, zjazd międzynarodywy prawodawstwa celnego i regulowania pracy, wreszcie kongres straży ogniowej. — W Genewie odbył się międzynarodowy zjazd jubilerów, a w Bernie (Szwajcarya) międzynarodowy kongres zwolenników opieki nad zwierzętami. — W Sofii odbył się kongres dziennikarzy bułgarskich.

Teatr i muzyka Panna Georgina Kayser, artystka dramatyczna horwacka, która pod pseudonimem Sobieskiej występowała w Zagrzebiu, a czas jakiś bawiła na występach gościnnych w teatrze niemieckim w Łodzi napisała dramat p. t. „Svako djelo dodje na videlo“, co możnaby tłumaczyć „Nic się nie ukryje“. Ma to być obraz z życia zagrzebskiego. — Kompozytor włoski Boravalli napisał operę „Andrea del Sarto“, która doznała wielkiego powodzenia w Genui. — Wiktoryn Sardou pisze nowy dramat historyczny o treści zaczerpniętej z wieków średnich. — T. Szafrański napisał w języku niemieckim krotochwilę p. t. C h a r l e y s O n k e l. — Paderewski bawiący obecnie w południowej Francyi dostał znów bólu w rękach, na który przed dwoma laty tak ciężko chorował; w skutek tego nie odbędzie się zapowiedziany na dzień 9 września koncert we Lwowie. Odwołano również występy Wł Górskiego i Sembrich-Kochańskiej.

W najświeższym numerze krakowskiego czasopisma „Ś w i a t“ uderza wśród licznych artystycznie wykonanych rycin prześliczna ilustracya frontispisowa P i o t r a S t a c h i e w i c z a p. t. „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ Obraz przedstawia starszego górala z dwoma chłopcami, modlących się na hali tatrzańskiej.

W lwowskiem czasopiśmie „Ż n i w o“ rozpoczął się druk powieści „Emila Zoli“ p. t. Lourdes.

W lipcowym zeszycie „Nord und Süd“ ukazały się Szkice Al. Świętochowskiego w przekładzie Malwiny Garfein, a bajka grecka tegoż autora p. t. „Aste“ ukaże się niebawem we F r e i e B ü h n e.

Syberya. W dodatku miesięcznym do „Niedeli“ p. A. Kolenko, w artykule ze wspomnień syberyjskich, daje następującą wzmiankę o Polakach na Syberyi: „W Irkucku i wogóle na Syberyi jest bardzo dużo Polaków. Wszystkie prawie hotele utrzymywane są przez Polaków; piekarnie, cukiernie, wędlarnie są wyłącznie w polskich rękach. Wszyscy ci Polacy osiedlili się z czasem na Syberyi na stałe, założyli ogniska domowe, wzięli się do interesów i nauczyli dobrze mówić po rusku. Wiele było przykładów, iż Polacy, otrzymawszy pozwolenie powrotu do kraju, jeździli do Królestwa polskiego, ale wkrótce potem wracali dobrowolnie na Syberyę.“

W cesarstwie japońskiem wychodzi obecnie 228 pism codziennych, 251 tygodników i miesięczników, 16 przeglądów prawnych, politycznych i ekonomicznych, 68 pism treści moralnej, 45 lekarskich, 167 tygodników rólniczych i handlowych, oraz 26 pism urzędowych.

Zmarli:

Remy van Haanen, malarz holenderski, zmarł w Wiedniu w wieku lat 92.

Otton Müller, wybitny powieściopisarz niemiecki zmarł w Sztuttgardzie.

Marya z Wawelbergów Rotwandowa, małżonka adwokata warszawskiego, znana filantropka, zmarła w Bonn nad Renem.

Karol Liddel, jeden z najznakomitszych inżynierów angielskich, twórca kolei nadwiślańskiej i nadmorskiej kolei włoskiej Novara Orta, zm. w 81 roku życia.

BIBLIOGRAFJA.

Fr. Rawita. R a c ł a w i c e (Rok 1894). Powieść historyczna. Lwów 1894. Cena 4,00 mr. — W a r s z a w a. Powieść historyczna. Lwów 1895. Cena 4,00 mr.

Jan Dziryt. N a b r u k u. (Obrazki z życia miejskiego). Poznań. Nakładem księgarni A. Cybulskiego. 1895. Cena 0,60 mr.

Jan Zacharjasiewicz. Z pod trzech zaborów. Lwów 1894. Cena 3,60 mr.

St. Graybner. 1. N a w a r s z a w s k m b r u k u. Lwów-Warszawa 1894. Cena 4,00 mr. — 2. M a m i n s y n e k. (Powieść.) Lwów - Warszawa 1894. Cena 4,00 mr.

Wojciech Dzieduszycki. W P a r y ż u. (Powieść. Lwów 1894. 3 tomy. Cena 5 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dobrogost Nałęcz. Gdyby całość była tak piękną, jak pierwsza zwrotka, zamieścilibyśmy chętnie wiersz nadesłany w łamach pisma naszego.

A. R. B. Brak orginalności i głębszego odczucia przyrody. Są jednak w sonetach przebłyski talentu, które uprawniają do pomyślnej wróżby.

Czesław Rola. Odcinek nasz zajęty na czas dłuższy.

Gazela. Prosimy dla osobistego porozumienia zgłosić się do redakcyi. Niektóre z „Pyłków“ są przesliczne, ale za wiele w nich Mussetowskich reminiscencyi. Nowelka „W słońcu“ wymaga pewnych zmian i skróceń.

Belina. Druk powieści „Quo vadis“ dotychczas się nie rozpoczął. Sienkiewicz układa ją dopiero w głowie, a równocześnie obmyśla plan do wielkiego romansu historycznego na tle wojen krzyżackich.

S T. 1. Polecamy słownik Kojrańskiego. 2. Broszurę Snitki nabyć można w administacyi pisma naszego. 3. Takiego dramatu Ebers nie napisał.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu